Nr. 12. Lwów, Sobota dnia 20. kwietnia 1895. Rok III.

NOWY ROBOTNIK

Czasopismo polityczno-społeczne.

Organ partyi socyalno-demokratycznej.

Warunki prenumeraty:

W miejscu: rocznie 1·80; półrocznie 90 ct.; kwartalnie 45 ct. — W miejscu z odsełką do domu, kwartalnie 50 ct.

Na prowincyi: rocznie 2·20; półrocznie 1·10 ct.; kwartalnie 55 ct.

Do Niemiec: rocznie 4·50 mark.

Do Francyi: rocznie 9 franków.

Numer pojedyńczy 6 ct.

Reklamacye nieopieczętowane wolne są od opłaty.

Redakcya, administracya i ekspedycya **ul. Wałowa l. 15 l. p.** wchód także z ul. Sobieskiego l. 18.

Wszelkie przesyłki adresować należy: **Kornel Żelaszkiewicz ul. Ubocz l. 3.**

Listów niefrankowanych nie przyjmuje się. — Rękopismów nie zwraca się.

Pojedyńcze numera nabywać można w Biurach dzienników p. Płoną, ulica Karola Ludwika i p. Olszewskiego, ulica Kilińskiego.

Wydawca: **Kornel Żelaszkiewicz.** **Wychodzi 1., 10. i 20. każdego miesiąca.** Odp. redaktor: **Joachim S. Fraenkel.**

O reformie podatkowej w Austryi.

Od pierwszych początków naszej, ery konstytucyjnej podnoszono ciągle zarzuty przeciw austryackiemu systemowi podatkowemu. Żalili się przemysłowcy i gospodarze wiejscy, żalili się drobni przemysłowcy i kupcy — każdy z osobna, że ciężary podatkowe na ich spadają barki. Wszyscy zaś zgodnie żalili się na to, że pewna kategorya zarobku i to zarobku najłatwiejszego, który nie wymaga wcale pracy i natężenia, mianowicie zarobek z kapitałów złożonych na procent, w części wolny jest od wszelkiego podatku, a w części w samej ustawie znajduje niejako zachętę zrzucenia z siebie tego ciężaru, jak to dowodnie okazała śmiesznie mała suma, która wpłynęła do kasy państwa z opodatkowania tego źródła dochodu. Do tych skarg opodatkowanych przyłączyło się jeszcze krytyczne położenie państwa, interesa czysto fiskalne, którymi kierowali różni ministrowie finansów. Nowa, konstytucyjna Austrya odziedziczyła po dawnej ogromne długi, za które corocznie miała spłacać procenta; to przeobrażenie Austryi w państwo nowoczesne, z nowoczesnym ustrojem wojskowym, ciągle świeże wydatki państwowe, a szczególnie ogromne ofiary, które pochłonął militaryzm, domagały się zmiany istniejącego systemu podatkowego. Państwo potrzebowało coraz więcej pieniędzy i tak każdy austryacki minister finansów był zmuszony zająć się kwestyą reformy podatkowej.

Ale obecny minister finansów p. Plener miał tę korzyść, że znalazł już gotową reformę, wypracowaną przez swego poprzednika. Potrzebował ją tylko, by nadać jej charakter własnego umysłu, skoszlawić, o co się też w zupełności postarał. Lecz wyrządzilibyśmy mu krzywdę, gdybyśmy chcieli jego jedynie uczynić odpowiedzialnym za nową reformę podatkową, albowiem jest ona właściwie dziełem koalicyi, a Plener jest tylko organem wykonawczym koalicyi. Ale rzecz dziwna! Koalicya nie wyrzeka się tej reformy, lecz owszem szczyci się dumnie swojem dziełem i stara się obrady za każdą cenę przyspieszyć. Chodzi jej bowiem o to, aby na wszelki sposób przeprowadzić reformę podatkową przy teraźniejszym składzie parlamentu, gdyż później z pewnością nie znajdzie się parlament, któryby się odważył na taką *reformę podatkową, która interesa robotników, chłopów i drobnomieszczaństwa wydaje na łup interesom wielkiego kapitału i wielkiej posiadłości.*

Koalicya pozostawia bez zmiany główne zło naszego systemu podatkowego, t. j. »podatki pośrednie«. Pozostawia więc bez zmiany cła na przywóz kawy i herbaty, opodatkowanie piwa, wódki i nafty, pozostawia bez zmiany bezwzględne wyzyskiwanie monopolu tytoniowego i solnego, podatek czynszowy, stempel dziennikarski; jednem słowem całą tę masę »podatków pośrednich«, które — jak powyższe przykłady wskazują — nałożone są właśnie na te przedmioty, których największym konsumentem jest lud.

Pozostaje więc, jak dotychczas w mocy straszny wymiar tych podatków, które podnoszą cenę najpotrzebniejszych środków do życia, jak pożywienia, mieszkania i oświetlenia; które wskutek ciągłego wzrostu, a z drugiej strony wobec coraz trudniejszych warunków egzystencyi ludności robotniczej stają się zaporą przeciw wszelkim usiłowaniom proletaryatu wyniesienia się ponad poziom dotychczasowego sposobu życia. A nadto cały ten rozdział podatków na »bezpośrednie« i »pośrednie« nie ma tu prawie znaczenia, bo i bezpośrednie podatki ciężą w rezultacie na tych, którzy wszystko co do życia potrzebują, kupować muszą, a nic sprzedawać nie mogą, jak tylko swą siłę roboczą, a więc na robotnikach.

Posiadacz gruntu płaci wprawdzie podatek gruntowy, ale odbija go sobie przez podwyższenie ceny zboża i robotnik musi drożej płacić za mąkę i chleb; w ten sposób spada podatek gruntowy na robotnika. Albo gdy właściciel kamienicy z westchnieniem płaci podatek czynszowy, czy on go rzeczywiście płaci? Żadną miarą, lokator po prostu musi płacić wyższy czynsz. Ten system podatkowy jest systemem właściwym ustrojowi kapitalistycznemu; łączy się ściśle z gospodarką finansową nowoczesnych państw i tylko wraz z temi, a więc z kapitalizmem razem może być obalony.

Ale reforma podatkowa daje nam progresywny podatek osobisto-dochodowy! I panowie z koalicyi głośno wskazują na swój bezinteresowny heroizm, że dla dobra klas pracujących i ojczyzny swoje własne dobro poświęcają. »Progresywny podatek dochodowy« — mówi się — »jest ofiarą, którą ponoszą bogaci«. No, w każdym razie oznacza podatek osobisto-dochodowy techniczny postęp, postęp ze stanowiska zawiadywania finansami: *Podatek osobisto-dochodowy bowiem jest to podatek, który każdy płaci ze swych czystych dochodów; a ponieważ każdy, kto samodzielnie gospodaruje, musi mieć jakiś dochód, a więc w zasadzie każdy jest opodatkowany.* Ponieważ przez to, przynajmniej w teoryi — odpada możność uwolnienia się, jak dotychczas, od opodatkowania dla żywiołów najbardziej kapitalistycznych, dlatego jest tu w każdym razie pewien *techniczny* postęp, ale też i nic więcej. O jakimś postępie w znaczeniu socyalno-politycznem, na co w pierwszym rzędzie patrzeć musimy, nie ma nawet mowy; przeciwnie reforma ta obciąża jeszcze bardziej lud roboczy i niższe warstwy stanu średniego. Albowiem 1) dotychczasowy system podatku dochodowego ze swojemi niesprawiedliwościami i nierównościami pozostaje nadal w mocy o ile możności jeszcze bardziej zaostrzony;

2) sam podatek osobisto dochodowy zawiera wprost postanowienia spaczone i wrogie ludowi. Aby taki podatek dochodowy był sprawiedliwy, to musi opodatkować każdego wedle jego sił t. zn., że byłoby największą niesprawiedliwością od każdego dochodu równą część na podatek czyli odbierać innemi słowy, podatek powinien być »progresywny« (stopniowy). Lecz stopa podatkowa podatku osobisto-dochodowego nie dosięga nigdy 5%! Wzrasta wprawdzie aż do 100.000, złr., chociaż nie dosięga wcale 5%. A przy dochodach wyżej 100.000, właśnie przy majątkach milionowych z uszanowaniem się zatrzymuje. Oto jest jedna socyalno-polityczna strona austryackiego podatku dochodowego: ochrona milionerów.

Sprawiedliwy podatek dochodowy musi dalej baczyć na to, aby mały dochód był wolny od podatku, gdyż nakładanie podatku poza pewien minimalny dochód znaczy tyle, co pozbawić najkonieczniejszych środków do życia. Dlatego *musi minimum dochodu konieczne dla egzystencyi być wolne od podatku.* Podatek osobisto-dochodowy zaczyna od dochodu wyżej 600 złr. t. zn. uważa dochód 600 złr. za minimumu egzystencyi. Lecz właśnie potrzeba było zacząć znacznie wyżej, zwłaszcza ze względu na nadzwyczajną wysokość podatków pośrednich w Austryi. Robotnik we Lwowie wydaje przeciętnie 20 złr. rocznie na podatki pośrednie, w całej Austryi przeciętnie 9 złr. Jestże to więc słusznem, choćby nawet zarabiał rocznie więcej niż 600 złr. — co bardzo rzadkie — obciążać go jeszcze podatkiem bezpośrednim? To jest druga »socyalno-polityczna« strona austryackiego, podatku dochodowego. A teraz najpiękniejsze! Aby tylko całkiem pewnie i najbiedniejszych nie zostawie bez opodatkowania, aby tylko dobrze się zapewnić, że i w pocie czoła zarobiony grosz proletaryuszów dostanie się w nienasyconą paszczę fiskusa, (bo milionerów naturalnie trzeba uwzględniać) wydaje się następujące monstrualne rozporządzenie:

Dochód kilku w związku familijnym żyjących osób zlicza się razem celem opodatkowania. Jeżeli więc w familii robotniczej, gdzie zwykle wszyscy, albo przynajmniej większa część członków rodziny muszą pracować na utrzymanie, wszyscy razem zarabiają więcej niż 600 złr., wtedy państwo żąda już podatku bezpośredniego, chociaż dochód każdego z osobna nie wynosi 600 złr. Brak nam poprostu dość silnego wyrażenia, aby to rozporządzenie należycie napiętnować. Rodzina robotnicza n. p. we Lwowie składająca się z 5 głów, której roczny dochód czysty wynosiłby łącznie 85 złr. musiałaby jeżeli jest 3 małych dzieci, zapłacić 4 złr. 40 ct. Do tego przychodzi jeszcze podatek pośredni, który dla takiej rodziny obliczono na 132 złr. Taka więc rodzina robotnicza płaci więc rocznie 136 złr. 40 ct. t. j. 16% swego dochodu jako podatek. *Ale Rothschild nie zapłaci nawet 5% swego dochodu jako podatek.* Można przeto powiedzieć: Podatek dochodowy jest wprawdzie progresywny, ale z góry na dół, a nie z dołu do góry. Oto trzecia »socyalno-polityczna« strona podatku dochodowego. Musimy jeszcze zwrócić uwagę na to, że to właśnie postanowienie rujnuje interesa drobno-mieszczaństwa, urzędników i t. d., ponieważ u tych właśnie także żona i dzieci muszą współpracować celem utrzymania rodziny.

Krótko mówiąc: Podatek dochodowy w tej postaci jest zamachem na kieszenie robotników i drobnej burżuazyi.

Prześladowania polityczne.

I.

Wczoraj, t. j. d. 19. bm. rozpoczął się we Lwowie w c. k. sądzie krajowym proces karny przeciw tow. Janowi Kozakiewiczowi, Joachimowi Fraenklowi, Janowi Majewskiemu, Jarosławowi Rozwodzie, Kornelowi Żelaszkiewiczowi, Józefowi Steigowi i Edwardowi Prymie, oskarżonym o występek z §§. 279, 283 i 284. Trzech pierwszych oskarża c. k. prokuratorya o to, że »w d. 19. listopada na rynku we Lwowie wzywali gromadzących się tamże wbrew zakazowi władzy bezpieczeństwa robotników do oporu przeciw służbę pełniącym urzędnikom i strażnikom policyjnym«, czterech ostatnich zaś o to, że wówczas »urzędnikom i strażnikom policyjnym, nakazującym tłumom rozejść się, nie byli posłuszni«. Oskarżenie swoje uzasadnia prokuratorya w ten sposób:

»Wedle komunikatu lwowskiej c. k. dyrekcyi policyi z 21, listopada zr. zakazała taż rezolucyą z dnia 16. listopada zr. odbycia w sali ratuszowej lwowskiej zapowiedzianego imieniem stowarzyszenia politycznego »Proletaryat« przez Jana Kozakiewicza i Joachima Fraenkla na dzień 19. listopada 1894 godz. 7. wieczór zgromadzenia ludowego, na którem w pierwszym rzędzie »stanowisko koalicyi do reformy wyborczej« omawianem być miało. Równocześnie oznajmiła c. k. dyrekcya policyi aranżerom tego zgromadzenia Kozakiewiczowi i Fraenklowi ustnie, że urządzeniu zgromadzenia na innem miejscu, gdzieby nie było obawy wywołania niepokojów w śródmieściu, nie będzie czyniła trudności, na co atoli Kozakiewicz i Fraenkel zapowiedzieli, że zgromadzenie się odbędzie bez względu na formalności prawne, na którymkolwiek placu śródmieścia. Na dniu 18. listopada 1894 r. odbyło się w sali restauracyjnej »pod dębem« poufne zgromadzenie partyi socyalno-demokratycznej, na którem to zebraniu miano za inicyatywą Jana Kozakiewicza postanowić tłumne zebranie się w dniu następnym, t. j. 19. listopada 1894 o godz. 7. wieczorem w rynku i urządzenie tam demonstracyi.

Zawiadomiona o tem postanowieniu w drodze poufnej, wysłała c. k. dyrekcya policyi w poniedziałek dnia 19. listopada 1894 r. wieczór silny oddział straży policyjnej pod wodzą ck. komisarzy Wilhelma Schaechtla. Kropaczka i ck. koncepisty Des Logesa do rynku z poleceniem zapobieżenia demonstracyom i niedopuszczenia do zgromadzeń, pochodów lub ekscesów.

Pokazało się, że obawy ck. dyrekcyi policyi nie były płonne i że mimo wyż rzeczonego zakazu a stosownie do zapowiedzi Kozakiewicza i Fraenkla zamierzono istotnie na rynku zgromadzić się w celu demonstrowania, ileże wnet po godzinie 7 wieczorem pojawili się na rynku liczni robotnicy, którzy mimo wzywania do rozejścia się i opuszczenia rynku, grupami się skupiali, a w jednem miejscu wskutek interwencyi straży policyjnej ustępując, znowu w innem się zbierali. Wśród tego niepokoju spostrzeżono na rynku obwinionych Jana Kozakiewicza, Joachima Fraenkla i ich towarzysza Kornela Żelaszkiewicza, także jednego z przewódców ruchu socyalistycznego we Lwowie, razem przechadzających się, a robiących wedle świadectwa ck. komisarza policyjnego Kropaczka wrażenie, jakoby badali teren rozpocząć się mającej akcyi i obliczali siły i rozstawienie swoich stronników z jednej a organów władzy bezpieczeństwa z drugiej strony. Wkrótce też ruszył zorganizowany pochód około 200 ludzi w zwartych szeregach w kierunku od katedry ku ulicy Ruskiej przez rynek kroczących pod przewodem Jana Kozakiewicza, Joachima Fraenkla i Kornela Żelaszkiewicza. Gdy pochód ten zrównał się z główną bramą ratusza, został przez ustawiony tamże kordon żołnierzy policyjnych powstrzymany i uczestnicy jego przez ck komisarza Schaechtla i jego pomocników do rozejścia się wezwani. Kozakiewicz, który wyparł się solidarności z tłumem za nim postępującym, przepuszczony sam przez kordon żołnierzy policyjnych, udał się w kierunku ku ulicy Ruskiej, a tłum się w istocie rozprószył. Po chwili odezwały się z różnych stron rynku nawoływania, hałasy, śpiewy i gwizdania, co spowodowało komisarzy i straż policyjną, że się porozdzielali i na zagrożone widocznie miejsca rozbiegli się. W kilku miejscach organizowały się naprędce pochody, które śpiewając i hałasując przeciągały rynek we wszystkich kierunkach tak długo, aż natrafiwszy na kordon straży policyjnej powstrzymane i rozbite zostały, aby niebawem znowu w innem miejscu się zszeregować i w taki sam sposób demonstrować, mimo ustawicznych a nader licznych upomnień i wzywania ze strony organów władzy bezpieczeństwa do spokojnego zachowania i rozejścia się, wreszcie do zaniechania ponownych zbiegowisk. Jeden z takich tłumnych pochodów, liczący około 500 głów, ruszył pod wodzą Jana Kozakiewicza od katedry ku ratuszowi. Komisarz Kropaczek, stanąwszy przed tym tłumem, wzywał kilkakrotnie do rozejścia się, a w szczególności samego Jana Kozakiewicza jako tego, który widocznie tłumowi przewodził, aby się oddalił. Kozakiewicz atoli zamiast wezwania tego usłuchać, zaczął czynić komisarzowi Kropaczkowi przedstawienia i usiłował przekonać go, że skoro on przemówi do tłumu z pod ratusza, tłum się rozejdzie i spokój przywrócony będzie. Na to komisarz Kropaczek oczywiście zgodzić się nie mógł i odparł, że Kozakiewicz przemawiając z miejsca, gdzie właśnie stoi, może z równym skutkiem tłumy do rozejścia się i opuszczenia rynku spowodować. Wtenczas Kozakiewicz skinął ręką, na ten jego znak tłum się uciszył, poczem on podniesionym zawołał głosem: »Towarzysze gromadzić się koło ratusza!« Wskutek tego jawnego już wzywania tłumu do oporu przeciw przedstawicielowi władzy, zamierzał komisarz Kropaczek Kozakiewicza przyaresztować, do czego atoli nie przyszło, bo Kozakiewicz zawczasu zniknął w tłumie, który w tej chwili napierany także z tyłu przez straż policyjną niebawem się rozbił. W kwadrans później — a było to już o godzinie $8^1/_4$ lub $8^1/_2$ — zobaczył komisarz Kropaczek znowu wysuwający się na rynek z wylotu ulicy Dominikańskiej pochód, na którego czele kroczył Kozakiewicz. Komisarz Kropaczek podbiegł ku niemu i oglądając się za policyantem, któryby miał Kozakiewicza przytrzymać, zawołał do Kozakiewicza »i pan tu znowu mimo tylokrotnych wezwań«. Kozakiewicz uszedł atoli i tym razem przyaresztowania, bo znikł w tej chwili z przed czoła powstrzymanego pochodu.

Równocześnie powstrzymywał komisarz Schaechtel pochód, który pod wodzą obwinionego Joachima Fraenkla posuwał się rynkiem od ulicy Trybunalskiej ku katedrze. Fraenkel mimo głośnego i wyraźnego wzywania, wystosowanego do wszystkich w tym pochodzie udział biorących, aby się rozejść, — kroczył uporczywie naprzód i porwał za sobą kilka pierwszych szeregów tego pochodu, podczas gdy dalsze szeregi zdołał komisarz Schechtel przy pomocy straży policyjnej oderwać i rozpędzić. Fraenkla w dalszym pochodzie wstrzymał koncepista Des Loges przy pomocy ajenta Terleckiego. Mimo kilkakrotnych, nawet specyalnie do jego osoby wystosowanych upomnień i wezwań, Fraenkel nietylko nie ustąpił sam, ale owszem wyzywającem zachowaniem swojem drugich do wytrwania w oporze zachęcał, a nawet wyraźnie oświadczył, że nie ustąpi, »bo mu się nie chce« — co stwierdza ajent policyjny Terlecki. Wtenczas koncepista Des Loges widział się już zmuszonym Fraenkla przyaresztować i pod silniejszym konwojem na inspekcyę policyi odstawić. Wnet potem, gdy Kozakiewicz i Żelaszkiewicz pospieszyli do dyrekcyi policyi, aby wyjednać wypuszczenie Fraenkla, tłumy się rozeszły.

Prócz Kozakiewicza i Fraenkla odznaczył się w stawianiu oporu organom policyjnym i zachęcaniu do takiego oporu — chociaż nie w tym stopniu czeladnik kowalski Jan Majewski, który stojąc koło katedry na placu Kapitulnym, gdy policya wzywała zebrane tam tłumy do rozejścia się — zawołał: »panowie nie rozchodzić się!«

Wskutek biernego tylko zachowania się wobec władzy bezpieczeństwa, tj. nieusłuchania nakazu rozejścia się zostają oskarżeni: 1) Jarosław Rozwoda, ponieważ mimo wezwań komisarza Schechtla i koncepisty Des Logesa nie usunął się z tłumu i nie zaprzestał udziału w demonstracyi nawet wyprowadzony przez ajenta poza rynek i przyrzekłszy, że odejdzie, znowu powrócił w ostatnim pochodzie w ulicy Kilińskiego, między pierwszymi maszerował, śpiewając »Czerwony sztandar«, a w końcu z komisarzem Schechtlem sprzeczkę rozpoczął; 2) Kornela Żelaszkiewicza, ponieważ mimo wezwania do usunięcia się i odejścia zaraz przy sposobności zatrzymania pierwszego pochodu około godz. $7^1/_4$ wieczorem pozostał na rynku aż do chwili przyaresztowania Fraenkla; 3) Józefa Steiga i 4) Edwarda Prymę, ponieważ także wezwania do rozejścia się nie usłuchali, lecz śpiewając »Czerwony sztandar« lub wznosząc okrzyki na cześć powszechnego prawa głosowania z miejsca zajmowanego nie ustąpili«.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozwój organizmów.

Szkic popularno-naukowy.

Z ognisto-lotnej mgławicy oderwała się niegdyś nasza ziemia; zwolna w ciągu milionów lat oziębiła się do tego stopnia, iż utworzyła się na zewnątrz twarda skorupa, utworzyły się morza, lądy, góry, doliny, słowem powstały warunki, w których istoty żyjące, tj. zwierzęta i rośliny mogły powstać i rozwinąć się.

Twierdzenie, że dzisiaj istniejące gatunki roślin i zwierząt są jedynymi, które od »stworzenia« ziemi istniały, należy stanowczo do bajek. Uczeni zdołali wykazać, że dawniej, *w dawniejszych okresach rozwoju ziemi żyły zwierzęta, całkiem inne niż teraz*; rośliny, które pokrywały dawniej powierzchnię ziemi, wyglądały inaczej niż dzisiejsze. Że tak było w rzeczywistości, odkryto w sposób następujący. Wkopując się w głąb ziemi, napotykano w przekroju różne warstwy, leżące jedne na drugich. W warstwach tych znachodzono bardzo często skamieniałe szczątki zwierząt i roślin, niepodobnych do naszych i to w każdej warstwie inne. O czem to świadczy? Warstwy są niejako dokumentami rozwoju ziemi od czasu utworzenia się twardej skorupy; powstały one głównie skutkiem osadzania się z wody; te, które leżą głębiej, są starsze, górne zaś są późniejsze. Skamienialiny w nich napotykane dowodzą, że *w różnych okresach ziemi istniały różne istoty żyjące*, a uczeni potrafili nawet na podstawie tych nielicznych szczątków odtworzyć historyę rozwoju organizmów, którą spróbujemy tu pobieżnie przedstawić.

Najgłębszą i najstarszą warstwą jest warstwa, którą nazywają uczeni formacyą gnajsową. W niej nie napotykamy jeszcze śladów istot żyjących. Pierwsze takie ślady znajdują się w następnej warstwie, zwanej formacyą sylurską. Znajdujemy tu szczątki organizmów wodnych jak gąbek, korali, rozgwiazd itp.; organizmów lądowych nie napotykamy prawie żadnych; jestto dowodem, że *ziemia w tym czasie była zewsząd pokryta wodą*. Wkrótce jednak wyłoniły się lądy stałe, bo już w następnych warstwach, odnajdujemy szczątki roślin lądowych. Dziwne to były te rośliny. Podobne były do naszych paproci i skrzypów, tylko o wiele większe, potężniejsze; tworzyły razem ogromne lasy. Wyobraźmy sobie taki las: zamiast drzew naszych liściastych, olbrzymie paprocie i skrzypy; dzisiejszych mieszkańców leśnych nie było tam wcale; nie rozlegał się śpiew ptasząt, ani ryk dzikich zwierząt, bo ich nie było; kilka gatunków płazów i owadów — to wszystko. Z tych przedpotopowych lasów mamy dzisiaj pokłady węgla kamiennego. Węgiel kamienny nie jest niczem innem, jak pozostałością z tych roślin, które zatopione przez morze, zamieniły się po tysiącach lat, na węgiel; stąd cały ten okres nazywamy okresem węglowym.

W następnych formacyach napotykamy jeszcze bardziej rozwinięte organizmy. Tyczy się to szczególnie zwierząt Olbrzymie jaszczurki, przewyższające swym ogromem największe dzisiaj żyjące krokodyle zaludniały ziemię, ichtyosaurus, potwór długi na 30 stóp, z oczyma wielkości talerza; plesiosaurus, z szyją dwa razy dłuższą niż cielsko; iguanodon, zwierzątko na 9 metrów długie z czteremetrowemi (!) nogami; pterodaktylus, pół jaszczurki, pół ptaka; — oto najciekawsi przedstawiciele z tych starych, dobrych czasów. W tym samym okresie powstała także kreda. Nadzwyczaj drobne (tzw. mikroskopijne) zwierzątka morskie, okryte wapienną skorupką, ginąc, opadały na dno morza i tworzyły w ciągu wieków grube pokłady minerału, który zowiemy kredą. Czas, w którym to się działo nazwano formacyą kredową. Powierzchnia zie-

Przegląd polityczny.

Gdy cała przyroda powraca do życia, gdy tchnienie wiosny owiewa powierzchnię ziemi, ożywiają się także nadzieje ludu, a serca proletaryuszy biją żywiej i goręcej; z nadzieją w lepszą przyszłość, z wiarą w swe siły zabierają się znowu do walki, do walki o wolność, do walki przeciw dzisiejszemu niesprawiedliwowi ustrojowi; z gorączkową niecierpliwością przygotowują się do demonstracyi majowej, na której ponowną złożą przysięgę: nie spocząć, aż nie runie dzisiejszy porządek; nie spocząć, aż nie zwycięży zorganizowany proletaryat, nie zwycięży wolność, równość i braterstwo. Na cześć tego bliskiego zwycięstwa wznosimy okrzyk, który powtórzą w dniu 1. maja miliony robotników całego świata: *Niech żyje międzynarodowa socyalna demokracya!*

W Anglii będą nareszcie robotnicy świętować 1. maja. Dotychczas obchodzili robotnicy tamtejsi pierwszą niedzielę w maju; obecnie jednak postanowiły organizacye robotnicze święcić dzień 1. maja, jak to czynią robotnicy wszystkich krajów. Święto majowe będzie więc jeszcze bardziej ogólne, niż w dawniejszych latach.

Z subkomitetu dla reformy wyborczej wystąpił klerykał baron Dipauli. Wystąpienie to zrobiło dość wielkie wrażenie, gdyż udowodniło bardzo dobitnie, że między klerykałami a liberałami nie ma tej zgody, o której tyle piszą pisma, stojące na żołdzie koalicyi. Dipauli mianowicie nie zgadzał się na wniosek liberałów, aby tych, którzy opłacają drobne podatki, włączyć do osobnej, utworzyć się mającej kuryi wyborczej i żądał przeciwnie, by zostawić ich w dotychczasowej kuryi, a nawet zniżyć cenzus wyborczy z 5 złr. na 3 złr. 70 ct. Liberali nie mogli się na to zgodzić, gdyż wówczas wzrosłyby nadzwyczajnie głosy antysemickie, które właśnie rekrutują się z pośród drobnych majstrów i kupców. Cały ten spór zakończył się wystąpieniem Dipaulego z subkomitetu. Dipauli, który jest członkiem klubu Hohenwarta, ma po swojej stronie, jak donoszą pisma, 37 członków z tego klubu. Jeżeli to się sprawdzi, to wówczas byt koalicyi będzie stanowczo zachwiany. Z ciężkiem tedy sercem powrócą wybrańcy ludu ze świąt wielkanocnych do Wiednia. Parlament zostanie otwarty 23. bm. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nastąpi w tej sesyi jeszcze uroczyste pogrzebanie koalicyi.

Chrystus i reforma wyborcza. Niedawno wyraził się pewien socyalista w izbie belgijskiej wobec klerykalnej większości w ten sposób: »Podług waszego (tj. klerykałów) systemu wyborczego miałby Chrystus tylko jeden głos, zaś Piłat i Herod po cztery głosy«. U nas w Austryi byłoby jeszcze gorzej; Herod i Piłat wybieraliby w kuryi większych posiadłości, a Chrystus nie miałby wogóle prawa głosowania!

Reakcyjna ustawa karna została już przyjętą przez parlament austryacki. Jak wiadomo, odesłał parlament paragrafy 113, 115, 119 i 120, które tyczą się przestępstw politycznych, napowrót do komisyi dla ponownego opracowania. Komisya — w której rej wodzi nasz rodak Piniński — poczyniła drobne i nic nie znaczące zmiany i przedłożyła je znowu pełnej izbie do uchwalenia. Mimo wysiłków opozycyi, by wykazać ciężkim mózgom koalicyjnym, że ustawa ta jest hańbą dla każdego ucywilizowanego państwa, uchwalono prawie bez żadnej dyskusyi wszystkie wnioski komisyi. Najreakcyjniejszym jest §. 113, który opiewa: »Więzieniem do 6 miesięcy lub grzywną do tysiąca złr. karany będzie ten, kto wychwala publicznie zbrodnie i występki w sposób, mogący drugich pobudzić do popełniania takich karygodnych czynów«. Co za wspaniały kauczuk najlepszego gatunku mieści się w tym paragrafie!

Liberali wiedeńscy ponieśli wielką porażkę przy wyborach do rady gminnej, tak, że teraz będzie w radzie miejskiej mniej więcej 70 liberałów, a 60 antysemitów. Klęska ta jest całkiem zasłużoną. Przez ostatnich kilka lat nie było partyi więcej reakcyjnej, więcej lizuńskiej, więcej podłej, jak partya liberalna. Postępowaniem swojem zraziła sobie ta partya zupełnie szersze masy ludności i odebrała teraz cięgi, które długo popamięta. Niech to będzie nauczką i dla naszych galicyjskich liberałów czy demokratów, którzy idą w ślady swych braci we Wiedniu.

Wybory do parlamentu włoskiego odbędą się 19. maja. Agitacya wyborcza jest już w pełnym toku. Każdy agituje na swój sposób; Crispi, jak zwykle, złodziejskiemi sztuczkami. Niedawno kazał wykreślić z list wyborczych 350 tysięcy nazwisk rzekomo z powodu jakichś nieformalności. Pieniądze, skradzione z banków, będą grały podczas wyborów naturalnie wielką rolę. Sam Crispi kandyduje w Neapolu. Na wieść o tem utworzyli studenci tamtejsi komitet, który wydał odezwę, wzywającą do walki przeciw złodziejom. Zobaczymy, czy pieniądze Crispiego wskórają więcej, niż nienawiść wszystkich uczciwych ludzi przeciw niemu.

Kongres belgijskiej socyalnej demokracyi odbył się 14. bm. w Antwerpii. Przyjęto prawie jednogłośnie do wiadomości uchwałę rady generalnej co do tymczasowego zaniechania strejku generalnego.

Sprawy bieżące.

Baczność! Towarzysze! We Lwowie odbędzie się w poniedziałek d. 22. kwietnia o 7. godzinie wieczorem wieczorem w sali „Gwiazdy" przy ul. Franciszkańskiej zgromadzenie ludowe. Na porządku dziennym: Sprawa I. maja. Towarzysze! Przyjdźcie w wielkiej liczbie.

Zgromadzenie w Winnikach, które zwołaliśmy na 15. bm. o godz. 3 popołudniu zostało zakazane przez c. k. starostwo lwowskie, z powodu — epidemii tyfusu i szczupłego lokalu. W oznaczonej godzinie zebrały się ogromne masy robotników i chłopów ze wsi okolicznych, przybyło nawet dużo z wsi odległych o 4 mile od Winnik z żonami i dziećmi, jakby na odpust. Ze wsi Kurowic, odległej o $3^{1}/_{2}$ mili przyszli prawie wszyscy mieszkańcy, a z nimi sam dziedzic, który chciał słyszeć, kto z chłopów będzie o nim mówił na zgromadzeniu. Gdy dowiedziano się o zakazie, zapanowało ogólne rozgoryczenie.

Rozbestwiony majster. Hilel Bach, majster stolarski we Lwowie (pl. Gołuchowskich 9) o którym pisaliśmy w poprzednim numerze, że wścieka się, iż towarzysze stolarscy założyli zawodowe stow. p. n. „Zgoda" — zdaje się — naprawdę się wściekł. Oto przed paru dniami w towarzystwie swego pomocnika swego Jekla Flissera (mieszka przy ulicy Żółkiewskiej 26) w sposób podstępny wyprowadził tow. Federa na odległe przedmieście i tam w straszliwy sposób go obił, mówiąc iż to za to, że należy do „Zgody". Spodziewamy się, że c. k. prokuratorya państwa, której lekarz sądowy p. Gabel o tym wypadku już doniósł, pociągnie brutalów do surowej odpowiedzialności. Panów zaś majstrów zapewniamy, że napady uliczne wcale nas nie odciągną od organizacyi; jeżeli sądzą, że bicie jest stosownym środkiem w walce między majstrami a robotnikami, to zgoda, bo my z pewnością lepiej walić potrafimy!

W. Mikulecki sekretarz fabryki w Winnikach, jest człowiekiem bez żadnego wychowania. Robotnica A. K. spotkawszy go na drodze, powiedziała mu grzecznie „całuję rączki". Na to odpowiedział ten pan w sposób, jakiego by się z pewnością wstydził najgorszy gbur. Robotnicy z Winnik powinni nauczyć rozumu tego pana i jemu podobnych kolegów. Wtedy będzie musiał to, co powiedział towarzyszce A. K. sam zrobić.

Piotr Obaraniec wójt z Winnik, zaczyna cierpieć na obłęd wielkości. Przed kilku tygodniami zwołali nasi towarzysze tamtejsi poufne zebranie w restauracyi. Panu wójtowi to się nie podobało i kazał ich przez żandarmów rozpędzić. Pomijamy już nieznajomość ustaw, której nie można wymagać od „Obarańca", ale pan ten miał później czelność chełpić się temi słowy: „wypędziłem socyalistów jak psów".

---

mi miała wtedy inny wygląd niż teraz. Temperatura była wogóle wyższą Tam gdzie teraz są lądy stałe, były wtedy morza i nawzajem; tak np. Rosya i północne Niemcy były dnem wielkiego morza, zamiast pruskich kaprali i prawowiernych rosyjskich mużyków królowały tam ichtyosaury i inne olbrzymie reptylie...

Przenieśmy się myślą znowu o kilkanaście milionów lat naprzód, a znajdziemy się w grupie formacyi, zwanych razem trzeciorzędowemi. I znowu inny krajobraz: dawniejsze potwory powymierały, a na ich miejsce przyszły zwierzęta mniejsze wprawdzie, ale zato wyżej rozwinięte. Zjawiają się zwierzęta ssące, nierozwinięte, niezgrabne, ale stanowiące przejście do zwierząt dzisiaj żyjących. Napotykamy tu wspólnego praojca konia i osła, dzika i świni swojskiej, psa, kota i wielu innych; wreszcie występują tu małpy, a między nimi, jak się zdaje, gatunek, z którego później rozwinął się człowiek. Z roślin rozwinęły się najbardziej drzewa szpilkowe, które wydawały ze siebie żywicę, znaną jako bursztyn; w bursztynie znajdują często bardzo dobrze zachowane owady, które już wówczas były rozpowszechnione. Nadto występują drzewa liściaste.

Następny okres, zwany dyluwialnym odznacza się *obniżeniem temperatury*. Podczas gdy dotychczas środkowa Europa miała klimat prawie taki, jak w krajach gorących, to teraz pokryła się śniegami i lodowcami. Dotychczas nie potrafiono wykryć przyczyny tego zjawiska. Na okres dyluwialny przypada katastrofa, o której dużo mówią podania ludowe: potop. Potop ten, nie był, jak chcą podania, z powodu grzechów ludzkich; nie dotknął też całej ziemi, tylko drobną jej część. Przyczyną powstania tych podań jest obecność szczątków zwierząt morskich na wysokich górach, — co mogło się stać tylko skutkiem wielkiego zalewu. — Dyluwium jest okresem świetności dla zwierząt ssących. Widzimy tu olbrzymi gatunek słonia, t. zw. mamuta, dalej potężne nosorożce, lwy, tygrysy, niedźwiedzie jaskiniowe, jelenie z ogromnymi nogami, których końce odległe były na 4 metry. Dzisiejsi potomkowie tych olbrzymów są o wiele mniejszymi, skarłowaciałymi, i jest widocznem, że wymierają. Człowiek występuje również w tym czasie; jest on jeszcze mało rozwinięty, przebywa w jaskiniach i musi ciągle walczyć z dzikiemi zwierzętami; lecz skutkiem swej inteligencyi, przez odkrycie narzędzi i ognia potrafił wkrótce zdobyć sobie dominujące stanowisko.

Okres dyluwialny jest przedostatnim w rozwoju naszej ziemi. Po nim nastąpił okres, który trwa dotychczas; *człowiek jest teraz panem przyrody*, a wszystkie wrogie mu zwierzęta, skazane są na wymarcie.

Oglądnijmy się teraz za sobą. Przebiegliśmy pokrótce historyę ziemi; widzieliśmy, jak różne gatunki zwierząt i roślin powstawały i ginęły, aby ustąpić miejsca drugim; widzieliśmy, jak początkowo te organizmy były mało rozwinięte i zwolna się doskonaliły. Jaka jest tego przyczyna?

Dwa przypuszczenia są tu możliwe. Albo przyjmiemy, że to wszystko działo się zapomocą cudów, przyjmiemy, jakto czynił Cuvier, że po każdym okresie następował potop lub inna katastrofa, który niszczył żyjące organizmy, aby dać możność stwórcy stworzenia nowych. Albo powiemy sobie, że cały ten rozwój jest wynikiem sił naturalnych bez żadnej jakiejś wyższej interwencyi. I to drugie przypuszczenie jest jedyne racyonalne, jestto nieśmiertelną zasługą Karola Darwina, że pierwszy wyjaśnił dokładnie tę sprawę. O poglądach jego powiemy następnym razem.

Cz.

Obarańeowi zdaje się, że jest bohaterem; nam się zdajc, że jest zwyczajnym — grubianinem, albo jeszcze czemś gorszem!

Na Kasę chorych w Winnikach dochodzą nas skargi, że nie wypłaca chorym robotnikom należnej zapomogi. Robotnik pewien, który pracował we fabryce przez 22 lat, chorował ciężko w r. 1893 i 1894 przez długie miesiące, a nie dostał z Kasy ani centa. Dlaczego?

Czy policyanci w Stanisławowie są właścicielami domów rozpusty? Ze Stanisławowa piszą nam: W nrze 8 „N. Robotnika" umieścił inspektor policyi p. Zubrzycki sprostowanie, że nieprawdą jest, jakoby prócz Ingbera i inni policyanci utrzymywali domy rozpusty. P. Zub. minął się jednak w swojem sprostowaniu z prawdą a na dowód tego przytaczamy fakt: Pewien fiakier opowiadał w obec więcej świadków (nazwiska mamy ponotowane), że policyant Samborski zamieszkały przy ul. Kazimierzowskiej przytrzymuje u siebie dwie lub jedną prostytutkę. Kapral policyi Harasymów zaś zbił prostytutkę Katarzynę Marzec za to, że odwiedzała tych samych gości, co i prostytutka u niego mieszkająca zwana przed ludźmi panią Harasymową — i przez to robiła takowej konkurencyę. Za miłościwych a roztropnych rządów Piotra I. rozwijają się w naszem mieście karciarnie wprost znakomicie i cieszą się opieką i poparciem ze strony policyantów. Nowa taka istnieje między innymi przy ul. Kazimierzowskiej i tu przed kilku tygodniami policyant Swadowski, będący wtedy w służbie, miał sposobność zebranym graczom hazardowym sprzedać talię kart. Drugi policyant Moskaluk chciał również spieniężyć karty, w których posiadanie niezwykłym wszedł sposobem, ale nie chciano od niego kupić z powodu niekompletności talii. Na pożegnanie wrzucono każdemu do policyanckiej konfederatki po szóstakowi tytułem „szwajggeldu".

W Neunkirchen koło Wiednia wybuchł strejk w przędzalniach. Jest on nadzwyczaj ciekawym ż tego powodu, że ludność wiejska stoi po stronie strejkujących i zaopatruje ich w żywność. Dnia 10. kwietnia odbyło się tam zgromadzenie chłopów, na którem, po referacie o strejku i dzisiejszych stosunkach chłopskich postanowiono jednogłośnie „popierać strejkujących w każdy sposób". Na zgromadzeniu tem, które było nadzwyczaj liczne, przewodniczyli radni gminni.

W Czyszkach koło Winnik zarządza dobrami należącemi do OO. Franciszkanów braciszek Paschalis. Jestto swego rodzaju „braciszek". Robotników wyzyskuje w niemożliwy sposób. Procesuje się ciągle z chłopami to o miedzę, to znowu o pastwiska z zaciętością wcale nie chrześcijańską. Na jego gruntach n. p. znajduje się źródło, używane od niepamiętnych czasów; p. Paschalisowi wpadło do głowy nie pozwalać go używać. Nastawia więc swoich ludzi, by każdego, kto zechce czerpać wodę, obili. Braciszku Paschalisie, wstydź się!

W Wełdzirzu koło Doliny fabrykant wyrobów żelaznych M. Gottlieb wypłaca robotników kwitami, a nie pieniądzmi. Za kwity te mogą dostać wiktuały w sklepikach, ale za potrąceniem 10%. Handlarze odnoszą potem te kwity kasyerowi fabryki, który daje za nie gotówkę, ale z potrąceniem znowu dla siebie 2%. — Wypłata kwitami jest surowo zakazaną. P. inspektor przemysłowy Nawratil raczy fabrykanta pociągnąć do odpowiedzialności.

Niejaki Bojkiewicz, „bahnaufseher" czyli „banmistrz", jak po kolejowemu się nazywa, wyzyskuje haniebnie budników kolejowych na przestrzeni Stryj-Morszyn. Biedni budnicy muszą mu być „mili", w przeciwnym razie ich prześladuje. Niedawno temu padł ofiarą jego zachłanności „wechter" w budce Nr. 3 na linii Stryj-Morszyn, który nie chciał mu »odstąpić« jałówki. Za to postarał się rozgniewany p. Bojkiewicz, że c. k. dyrekcya „wechtra" tego, który przez 20 lat wiernie pracuje przy kolei, przeniosła na linię Stanisławów-Woronienka, gdzie mu o wiele jest gorzej. Przy tej sposobności radzimy c. k. dyrekcyi kolei państw., aby dokładnie zbadała, dlaczego p. Bojkiewicz wszystkie naprawki ślusarskie z linii Stryj-Morszyn oddaje do pracowni Werbsteina w Stryju, a nie do c. k. warstatu kolejowego.

Nowy wyzyskiwacz robotnikow budowlanych we Lwowie. Jest nim p. Brejter przedsiębiorca robót kolejowych, znany z prowadzenia robót na linii Stanisławów-Woronianka, który obecnie objął przedsiębiorstwo budowy drugiego toru Lwów-Podzamcze. »Poczciwcowi» temu zdaje się, że to jeszcze ciągle te czasy, gdy robotnicy nie mieli żadnej ochrony prawnej, że przedsiębiorca mógł z nimi robić co mu się podoba i zdaje mu się, że we Lwowie tak będzie gospodarzył jak niedawno w Woroniance. Rozpoczęcie robót zaznaczył tem, że robotnicy zajęci u niego, mają pracować od świtu do nocy, a co najmniej od godz. 6 rano do 7 wieczorem, to jest 12 godzin dziennie, nie chce uznać 10 godz. czasu pracy, który rob. budow. we Lwowie mają, do którego też najbiedniejszy przedsiębiorca się stosuje, płaci zaś niżej cennika aż wstyd powiedzieć, n. p. *kierownikom ciesielskim płaci po 1·30 dziennie!* nie mówiąc o robotnikach, a jeżeli ktokolwiek z pracujących odważy się upomnąć o wyższą płacę lub czas pracy, natychmiast bywa z pracy wydalony. Trudno wyobrazić sobie rozpaczliwe położenie robot. budow. Wyniszczeni już w ubiegłym roku brakiem pracy z powodu wystawy, stagnacyą powystawową i długą zimą, radzi pracować jak najrzetelniej, byle nie nadużywano bezmiernie ich zdrowia i zarobku, gdy z drugiej strony nadarza się praca, za którą stoi nienasycony żarłok zysku, nie mający żadnego szacunku dla praw pracujących, każe im łamać solidarność, krzywdzić drugiego brata robotnika, w zamian rzucając pracującemu marnych kilka groszy z których wyżyć niepodobna... Robotnicy budow. chcąc zaradzić chciwemu i nieludzkiemu postępowaniu p. Brejtera, wysłali swego reprezentanta z przedstawieniem, jednak bez skutku. Brejter oświadczył. że kto nie zechce wedle jego woli pracować, tego natychmiast wydali, że zresztą on sprowadzi sobie robotników z Włoch i z Kalwaryi Zebrzydowskiej, a na uwagę, że i obcy robotnicy będą musieli solidarnie postępować i że zresztą władze, które w roku 1893 pośredniczyły w ugodzie z pryncypałami, będą musiały pouczyć p. Brejtera, że robotników krzywdzić nie wolno, odparł butnie p. Brejter, „że władze będą musiały dać wojsko, by nieposłusznych robotników poskromić". Ten butny moloch, wytuczony krwią i pracą tysięcy najbiedniejszych robotników, ten chciwy i nienasycony żarłok proletaryuszy, śmie grozić tej zorganizowanej, uczciwie i rzetelnie pracującej armii robotników budowlanych, że o wojsko się postara, jeżeli nie będą pozwalać się obdzierać, jeżeli brat brata nie będzie zaprzedawął, by on mógł wypychać kieszeni złotem! Ale, p. Brejter, zdaje się, że trafi kosa na kamień. Lwowscy robot. budow. przekonają pana, że krzywdy im czynić, że praw ich poniewierać niewolno, jeżeli pan natychmiast nie zmieni taktyki w swojem postępowaniu, jeżeli wilka z lasu sam dalej będziesz wywoływał.

Sprawę tę oddajemy p. inspektorowi przemysłowemu i odnośnym władzom do zarządzenia, co należy, w szczególności, by przedstawiły Brejterowi, że słuszność po stronie robotników z żądaniem odpowiedniego przestrzegania ugody.

Towarzyszy *z prowincyi, przestrzegamy, by żaden nie przyjmował pracv u p. Brejtera* bez poprzedniego porozumienia się z Zarządem Zgrom. Tow. murarzy, cieśli, kamieniarzy lub redakcyą naszego pisma.

Pan Klarfeld, dyrektor browaru p. Lilienfelda we Lwowie, należy widocznie do tego rodzaju zarządzców, którzy robotników uważają jako zwykły przedmiot w pracowni, którym wedle kaprysu można z miejsca na miejsce przerzucać. Przed kilkoma dniami wydalił z pracy trzech robotników dziennych o godz. 10 rano bez innego powodu, jak tylko, że p. Klarfeldowi nie chciało się wyszukać dla nich pracy z powodu deszczu. Panie Klarfeld, to niegodziwie kazać robotnikom przychodzić do pracy na to, by za kilka godzin dla własnego lenistwa z pracy ich wydalić, pozbawiając ich tem samem chleba.
J. B.

Ze Stanisławowa piszą nam: W dniu 18. b. m. jako w 12-letnią rocznicę śmierci Karola Marksa zamierzaliśmy urządzić wieczorek wokalny połączony z przedstawieniem amatorskiem. W tym celu imieniem komitetu wieczorkowego wniósł tow. R. Karwasiecki, robotnik blacharski, podanie do Wydziału tutejszej „Gwiazdy" z prośbą o wynajęcie nam w tym dniu sali na kilka godzin. Nie prosiliśmy o żadną łaskę, chcieliśmy zapłacić tyle, ileby od nas zażądano i spodziewaliśmy się, że pp. rękodzielnicy traktować nas będą na równi z żydowskim teatrem, który od dłuższego czasu daje przedstawienia w lokalnościach „Gwiazdy". Ale widocznie p. Gimpel jest sympatyczniejszym dla polsko-katolickiej „Gwiazdy" niż robotnicy-socyaliści – i dla tego nie chciano wynająć nam sali, choć w tym czasie będzie wolną. Wcale ciekawą jest odpowiedź Wydziału „Gwiazdy" na wspomniane wyżej podanie z naszej strony. Wieje z niego taki jakiś duch policyjny, jakby sekretarz „Gwiazdy" p. Burczyk, który ją stylizował, nie był zwykłym brukotłukiem i luftinspektorem, lecz nieprzemierzający funkcyonaryuszem policyi. Przytaczam zresztą w dosłownem brzmieniu ów dokument buty drobnomieszczańskiej: „L. 13. Do Szanownego Pana Rudolfa Karwasieckiego. W odpowiedź na podanie wniesione z dnia 2. marca b. r. do Wydziału stow. »Gwiazda» podaje się Panu do wiadomości, że na posiedzeniu Wydziału odbytem na dniu 6 bm. nie przychylił się Wydział do prośby pańskiej co do wynajmu sali na wieczorek wokalny na dzień 18. marca br. z powodu, że nie jest Wydziałowi znana godność i osoba pańska, jak również wzmiankowany komitet. Stanisławów, 7. marca 1895. Za Wydział: Papierkowski prezes mp, M. Burczyk sekretarz mp.

Nie od rzeczy będzie dodać, że tow. Karwasiecki jest znanym osobiscie jako blacharz p. Papierkowskiemu i że prywatnie uwiadomiliśmy poszczególnych wydziałowych o składzie komitetu. Powodem odmowy zatem nie było nic innego jak tylko ślepa nienawiść do socyalistów i nadzieja zasłużenia sobie takiem postępowaniem na subwencyę. Gdy władze administracyjne t. j. starostwo lub policya stawiają nam na każdym kroku przeszkody, to dla nas jest rzeczą zrozumiałą i naturalną, gdyż ostatecznie one są od tego, by dusić wszelki ruch ludowo-wolnościowy, ale żeby stowarzyszenie, wprzód którego znajduje się pewien procent robotników, miało nam rzucać belki pod nogi i nie chciało wynająć sali na wieczorek, mający na celu uczczenie tego, którego imię robotnicy całego świata otaczają szacunkiem i uwielbieniem — tego nie spodziewaliśmy się. O pp. Papierkowskich, Burczykach et Comp. mieliśmy dotychczas trochę lepsze wyobrażenie, nie przypuszczaliśmy, że wielbiciele konstytucyi 3. Maja są tak socyalistożernymi jak... policya. Gratulujemy dobranej kompanii.

Zgromadzenie robotników żydowskich odbyło się we Lwowie dnia 10. b. m. przy udziale około 300 osób. O „reformie wyborczej" referował tow. Menkes. Mowca wykazał bezpłodność koalicyi i cały jej wsteczny klasowy charakter. Rządowi nie rozchodzi się o przeprowzdzenie reformy, lecz o jej zabagnienie w łonie subkomitetu. Ale lud roboczy poznał sie na tej polityce i wszelkimi siłami położy jej koniec. Referent krytykował dalej zachowanie się »Koła polskiego» i pojedyńczych jego posłów i wzywał nakoniec licznie zgromadzonych, aby przez wielką mauifestacyę majową dali rządowi należną odpowiedź. Sprawę 1. maja omawiał tow. Steig, który w wymownych słowach wykazał ogromne znaczenie tego międzynarodowego święta. W tym roku — mówił referent — manifestacya majowa musi być świetną, imponującą. Obowiązkiem robotników żydowskich jest w manifestacyi tej brać jak najliczniejszy udział. Tow. dr. Diamand podniósł następnie znaczenie międzynarodowej solidarności, której najlepszym wyrazem jest właśnie święto 1. maja. Wykazał, ile szlachetności leży w ruchu naszym, gdyż nie dla pojedyńczych warstw lub klas pracujemy; zwycięstwo socyalizmu będzie zarazem zwycięstwem kultury. Przemawiali jeszcze tow. Stechenberg, Tewel i Schweizer, poczem tow. Nacher referował o mających nastąpić wyborach do kasy chorych i zaznaczył potrzebę reformy kas chorych, postawił znane tow. rezolucye, które też jednogłośnie przyjęto. Odśpiewaniem „Czerwonego sztandaru" zakończono to liczne zgromadzenie.

Z Przemyśla piszą nam pod d. 5. kwietnia: Statutu mającego się zawiązać stowarzyszenia dla robotników żydowshich „Brüderlichkeit" odrzuciło namiestnictwo po upływie pełnych czterech tygodni. Zakaz założenia stowarzyszenia jest z tego względu bardzo ciekawym, że na podstawie *tych samych* statutów istnieje już w Austryi i w Galicyi mnóstwo stowarzyszeń. — Na bardzo licznem zgromadzeniu poufnem, na którem tow. Reger mówił o potrzebie święcenia 1. maja w tym roku, uchwalono jednogłośnie święcić uroczystość majową proletaryatu przez zaprzestanie pracy i przez urządzenie publicznego zgromanzenia.

Wyrok w procesie Kozakiewicza i tow. zapadł następujący: Kozakiewicz 3 miesiące ścisłego aresztu, Fraenkel 1 miesiąc ścisłego aresztu, Żelaszkiewicz 14 dni zwykłego aresztu, Steig i Pryma po 7 dni, tylko Majewski został uwolniony.

Korespondencye od Redakcyi. Towarz. w Ottynii: Korespondencyi o „Pochodni nie pomieścimy, bo już nasze zdanie o tem piśmidle napisaliśmy. Cena „Pamiątki" 10 ct.

Kronikę dla braku miejsca odkładamy do następnego numeru.

Rachunki partyjne.

Na fundusz prasowy złożyli: Głowaczewski —·50, Kostk. —·50, Silb. —·50, Szap. —·50, Merg. —·50, Reich —·50, K. 1·95, Czyt. ak. —·50, Wolfr. 6·12, Wiśniowski —·55, Londyn 29·33, Ka. 22·01, Wang —·50, Kost. —·50, Löwen. —·50, Reich —·50, Hendrych —·50, Spoż. —·50, Szarwarska —·50, Laskownic. —·50, Ster. —·50, Czajk —·60, Tel. —·06, Dr. Bett —·50, Ziem. 1·—, Seg. 1·—, Rawska —·90, Woźniak —·76 Piziak —·50, Blaustein — 55, Jeden co nie może święcić 1. maja —·30, Moos —·50, Moos —·20 Eberb. —·15, Zgrom. tow. drukarzy 5·—, Engster 1·—, Tyszlewicz —·50, Slawik —·50, Przemyśl 6·—, Demokrata 1·—, Marek —·55, Czem. —·55, Żel. —·40, Sącz 27·—, Fikalis —·10. — Razem 117·17. Lista zamknięta 18. kwietnia.

Na fund. agitacyjny: Sikorski —·04, Szefer —·10, Kołodziejska —·10, Turczyński —·05, Fränkel —·50, Podgórski —·50, Ladra 1·46, Wiśniowski —·15, Schweitz. z bl. —·20, A. z bl. —·50, Turczyński —·20, Szczuka —·10, Lisiewicz z bl. —·50, Mańkowski —·70, Rewołucyonista —·05, Id. z bl. 1·—, Löwenh. —·60, Landau 1·81, Kanar. —·04. Szlaf. —·01, Al. —·16, Fikalis —·20. Z zabawy —·70, L. z bl. 1·—, Frän. z bl. —·50, Słoms. —·84. — Razem 12·01. Lista zamknięta 18. kwietnia.

Podziękowanie.

Wydział Stow. robot. stolarskich »Zgoda» we Lwowie składa niniejszem publiczne podziękowanie Panu Drowi Teodorowi Bałabanowi za darowane książki i obrazy dla Stowarzyszenia.

Z drukarni Zygmunta Golloba we Lwowie





Armia postępu.

W majowem słońcu lśnią sztandary
I ciągną pułki niezliczone —
A pieśń, ognistej pełna wiary,
Huczy, jak fale wód spienione.

Idą tak dumni w blaskach słońca,
A w oczach zapał im się żarzy —
Od końca świata aż do końca
Przed nimi blednie zastęp wraży.

Idą wciąż dalej — moc ich rośnie —
Nic tych zuchwałych nie powstrzyma —
I hardy okrzyk brzmi rozgłośnie:
Dla śmiałych żadnych przeszkód niema.

Dziwna to armia! Nie Cezary,
Ani Atylle w bój ich wiodą,
I nie królewskie ich sztandary,
Ni ksiądz święconą czcił je wodą.

Pod czerwonymi sztandarami
Idzie — o dziwo — wojsko nowe:
Własnej swej sprawie oni *sami*
Dali te godła — te bojowe.

Dziwna to armia! Rzekł Bicz boży.*)
Gdy szedł na Romy kwietnie błonie:
»Nie wzejdzie trawa ni kwiat hoży,
Gdy stąpią Hunnów moich konie«.

Gdzie hufce przejdą zaś *czerwone*,
Tam kwiat wyrasta wnet uroczy,
Niwy tam cudnie umajone:
Tam kwiat wolności nęci oczy.

O, dziwna armia — armia święta!
Ona nie idzie siać zniszczenie —
Lecz tępić chwasty, targać pęta
I płoszyć nocy groźne cienie, —

Armia postępu i swobody,
Co rzuca wieści nam radosne,
Zwiastuje przyszłe świata gody,
Po ciężkiej zimie — cudną wiosnę.

W majowem słońcu lśnią sztandary
I ciągną pułki niezliczone —
A pieśń, ognistej pełna wiary,
Huczy, jak fale wód spienione!

F. P—l

*) Atylla.



Program polityczny

stronnictwa socyalistycznego.



Minął ten czas, kiedy oddzielano sprawę społeczną od politycznej. W Niemczech, dzięki w znacznej części umysłowemu wpływowi Marxa, Engelsa, Lassalle'a, Liebknechta i licznych tłumaczy ich myśli, zawsze rozumiano ścisłą łączność jednej z drugą. Inaczej bywało we Francyi i w Belgii. Dzisiaj zaś w tych państwach stronnictwo socyalistyczne stało się jeszcze bardziej politycznem, aniżeli w Niemczech. Chwycono się w nich broni, której dotąd używano wyłącznie tylko w sprawach ekonomicznych: zmowy — dla wywalczania praw politycznych. Widzieliśmy to na wielką skalę w Belgii w walce o powszechne głosowanie; przygotowuje się coś podobnego i we Francyi na wypadek, gdyby większość parlamentu przyłożyła swą rękę do knowanego przez senat ograniczenia ustawy o syndykatach robotniczych.

I w samej rzeczy, jeżeli pewne zasady już na tyle się rozpowszechniły, że się sformowało nowe stronnictwo, jeżeli z pola walki teoretycznej przechodzi ono na pole działalności praktycznej, to musi przekonać się wkrótce, że rozdział pomiędzy sprawami społecznemi i politycznemi, trudny już w teoryi, staje się zgoła niemożliwy w zastosowaniu praktycznem. Ta trudność jest tak silna, że zmusza demokratów, chcących zachować starą wiarę społeczną, do wyrzekania się swych dawnych haseł i do opuszczania swego dawnego sztandaru. Zająwszy w kwestyi socyalnej środkowe miejsce — jak się wyraził niedawno jeden z waszych demokratycznych posłów — zmuszeni są oni zająć takież samo miejsce i w sprawach politycznych. I niepodobna bardzo się dziwić temu, że nie chcą oni powszechnego głosowania, które z pewnością pomnoży szeregi nowowierców. Z tegoż powodu francuscy radykałowie opuszczają jednę za drugą dawne swe pozycye polityczne, a socyaliści, zajmując te opuszczone pozycye, stają się we Francyi jedynymi prawdziwiemi szermierzami wolności politycznej i równości praw obywatelskich.

Podobne zjawisko spostrzegamy i u nas: we wszystkich trzech zaborach. Jeżeli rozpatrzymy się w programach i działalności naszego stronnictwa demokratycznego, tak jak one się przejawiały, aż do ostatniego naszego powstania, to okaże się, że dzisiejsi socyaliści są więcej mu duchem pokrewni, aniżeli dzisiejsi demokraci. Nie mówię o Konarskich, Worcellach, Dembowskich, ale taki Heltman, taki Mierosławski, zwłaszcza z czasów 1848 r., nie znaleźliby ani posłuchu, ani poparcia pomiędzy dzisiejszemi demokratami.

To rozszerzanie i wypełnianie programu stronnictwa socyalistycznego w kierunku politycznym, jakie daje się widzieć wszędzie tam, gdzie stało się lub staje się stronnictwo to potęgą polityczną, jest naturalne, konieczne i wielce znamienne. Najbardziej zaślepieni zaczynają przecierać oczy i odczuwać, że nowe zasady zwyciężają i że gotuje się rychło ważna przemiana stosunków społecznych. Zawzięta walka, jaką socyaliści staczali w parlamencie francuskim przeciwko tak zwanym z b r o d n i c z y m ustawom, które ograniczyły wolność prasy i zgromadzeń, i przeciwko reakcyi uosobionej w Perier'ze, roznieciło sympatyę dla socyalizmu nawet w odległych i głuchych kątach Francyi. A kiedy Perier, zrzekłszy się dostojeństwa prezydenta, uciekł z pola walki, z uciśnionej piersi narodu wyrwał się mimowolny, radośny i niemal powszechny okrzyk: Socyaliści przecież zwyciężyli!

Stronnictwo, które zdobywa w narodzie to przekonanie, że bronione przezeń zasady i interesy odpowiadają istotnym potrzebom całego narodu, wyjąwszy względnie małą tylko część onego, staje się stronnictwem prawdziwie narodowem — rzec nawet można — jedynie narodowem. Zwycięstwo jego jest tylko kwestyą czasu.

Dla każdego narodu niepodległość jest pierwszym warunkiem normalnego rozwoju, ale konieczność onej odczuwa się gwałtownie zwłaszcza przez te narody, które noszą w swych piersiach wyższy ideał społeczno-politycznego ustroju. Najczulszem więc musi być to stronnictwo, ideałem którego Rzeczpospolita, w której niema miejsca dla wyzysku i krzywdy, w której staje się niemożliwą klasa próżniacza, a jednak przemożną, a za to dla każdej rzetelnej i uczciwej pracy otwiera się szerokie pole, w której wolność i równość przestają być czczemi wyrazami, i w której nie przy stole bankietowym, nie przy puharach z winem, ale w znoju życia codziennego rozbrzmiewa nasze staropolskie: k o c h a j m y s i ę!

Niepodległość narodowa jest dla stronnictwa socyalistycznego gwałtowniejszą potrzebą, aniżeli dla innych stronnictw. Wydziedziczonym, wyzyskiwanym, gnębionym i upokarzanym milionom może ona słowami genialnego wieszcza powiedziec:

Dla was Ja i Ojczyzna to jedno!

Bolesław Limanowski.



I tak często bywa.

Opowiadanie majowe.

— No, cóż myślicie — towarzysze, 1. maja świętujemy, nieprawdaż? — zawołał Staszek, młody robotnik, wchodząc do warstatu ślusarskiego, gdzie już wszyscy czeladnicy byli zebrani i z niecierpliwością oczekiwali pojawienia się p. majstra Moczymordy, by im zapłacił ich tygodniowy zarobek. P. Moczymorda obchodził uroczyście koniec tygodnia i po wczorajszej pijatyce jeszcze w najlepsze chrapał.

Słowa Staszka przerwały toczącą się rozmowę i wszyscy zwrócili oczy na niego. Wszystko tam w tych kilkunastu źrenicach można było wyczytać: i sympatyę i chytrość i szyderstwo i lekceważenie. Staszek był najmłodszym w warstacie. Czas jakiś trwało milczenie, po którem wszyscy jakby na komendę odrazu zaczęli mówić.

— My i tak mało zarabiamy, że zaledwie człek wyżyć zdoła. Już i bez tego tyle świąt w roku obchodzimy; po co nam ni z tego, ni z owego porzucać pracę w jakimś dniu powszednim, niewiedzieć, dlaczego i na co?

— Jabym przeciw świętowaniu nic nie miał, świętować lubię, ale wtedy, kiedy mnie się podoba, a nie na czyjąś komendę — mówił drugi.

— O, nasz Staszek to zawsze coś nowego ze zgromadzenia przyniesie, mówił inny.

Staszek się uśmiechnął, obu łokciami wsparł się na warstat i z spokojną uwagą wpatrywał się w otaczających.

— Tak jest — zaczął powoli — ja zawsze coś nowego przynoszę ze zgromadzenia i mocno żałuję, że was tam nigdy spotkać nie mogę, a szkoda, bo wiele ciekawych rzeczy dowiedzielibyście się, zrozumielibyście np., dlaczego robotnicy, a więc my obchodzić mamy uroczystość 1. maja. Samo święto jest n o w e, to prawda, lecz czyż wam s t a r a bieda tak smakuje, że wszystko, co nowe, już się wam z góry nie podoba? Cały rok, ilekroć któremu z nas krzywda się stanie, narzeka po kątach, zaciska pięście i zgrzyta bezsilny zębami, a krzywdziciel śmieje się i drwi z takiego kiwania palcem w bucie — czy nieprawda p. Ciemięgo — zapytał Staszek zwróciwszy się do starszego czeladnika.

„Ale jest jeden dzień w roku, kiedy skargi i żale nasze nie wywołują drwin, lecz blady strach na twarzach wyzyskiwaczy, jest jeden dzień, kiedy panowie pilniej i uważniej przysłuchiwać się muszą wołaniom ludu pracującego, a tym dniem jest zbliżający się 1. maja. To jest coś na kształt dnia sądnego dla tych, co żyją z pracy cudzej i tuczą się krzywdą słabszego. Nie tylko w naszem mieście, nie tylko w całym kraju, ale na całym świecie, jak długi i szeroki, robotnicy świętowaniem w dniu tym okazują, że dążą przez zbratanie wszystkich ludzi pracujących do zaprowadzenia lepszego ładu na świecie.

„W dniu tym, co roku odbywa się przegląd sił tej wielkiej armii robotniczej, co się międzynarodową socyalną demokracyą nazywa, aby dowiedzieć się, ilu nowych bojowników zaciągnęło się pod czerwony sztandar, a ilu śpi jeszcze gnuśnym snem obojętności na wszystko, co się pod ich nosem dzieje. I oto liczba wyznawców nowej ewangelii wzmaga się ciągle, wolność, równość i braterstwo coraz szerzej i głośniej rozbrzmiewa i staje się hasłem wszystkich tych szlachetnych i uczciwych ludzi, którzy nie chcą wybijać pokłonów złotemu cielcowi. Poznamy wprawdzie w tym dniu, jak nam daleko do urzeczywistnienia tych wzniosłych ideałów, ale to nie zachwieje w nas otuchy, nie napełni zniechęceniem, lecz owszem zagrzeje do działalności zarówno gorączkowej, jak wytrwałej, aby przyspieszyć przyjście Wielkiego Dnia Wyzwolenia Ludu Roboczego“.

Staszek mówił płynnie i z zapałem, jak zresztą mówi każdy uświadomiony robotnik o majowej manifestacyi.—I wobec tego wszystkiego — ciągnął po krótkiej przerwie dalej — my mielibyśmy wtedy stukać i dzwonić młotem, kiedy cicho i pusto będzie we wszystkich fabrykach na całej kuli ziemskiej, mielibyśmy tę uroczystą ciszę przerwać? Nie! Zanadto dobre wyobrażenie mam o was, abym mógł myśleć, że wśród nas znajdują się tacy nędznicy.

Tu musiał się wstrzymać widząc, że go za daleko porywa uczucie.

— No, no nie potrzebujesz się tak bardzo irytować — rzekł Mitręga, flegmatyczny człeczyna w średnim wieku — my wszyscy tak samo myślimy, jak i ty, ale pracy w tym dniu porzucić nie możemy; zresztą i bez nas tam się jakoś obejdzie.

— Obejdzie się, powiadacie? — zawołał z ironią Staszek — a znacie wy anegdotę o rabinie, któremu żydzi na imieniny zamiast beczki wina, zlali beczkę wody; takie zachowanie się z naszej strony zakrawałoby zupełnie na coś podobnego. Gdyby tak każdy powiedział, jak wy, to wszyscy zostaliby w warstatach i na wstyd i hańbę robotnicy w naszem mieście pracowaliby jak b y d l ę t a robocze, stając w przeciwieństwie do robotników całego świata, w których obudziło się poczucie l u d z k i e j godności i interesu klasowego.

— Staszek ma słuszność — zawołał Laskowski, który od początku spoglądał przyjaźnie i potakiwał każdemu słowu Staszka. — Pierwszego maja idziemy wszyscy rano na zgromadzenie, a po południu na wycieczkę do Zielonowa; w warstacie niech pracuje p. Moczymorda, jeśli zechce, z nas żaden nie dotknie młota, wyjątkami być nie chcemy!

— A jużci, że nie — zawołali inni chórem, w którym nie brakło już ani głosu Mitręgi, ani Ciemięgi.

W tej chwili wszedł chwiejnym krokiem p. majster Moczymorda we własnej osobie, ziewnął parę razy, przetarł kilkakroć nabrzękłe oczy i dobył zatłuszczonego pugilaresu, by rozpocząć wypłatę.

* * *

Nadszedł dzień 1. maja. P. Moczymorda chodzi po warstacie swoim, rwie ze złości sumiaste wąsy i strasznemi słowami wyrzeka na niewdzięczność, lenistwo i bezbożność tych buntowników, co dzisiaj nie przyszli do roboty. Lecz nie monolog to prowadzi p. majster, w kącie stoi czeladnik Wyzuwicki i pobożnie wsłuchuje się w słowa swego pryncypała.

W znanej nam niedzielnej dyskusyi Wyzuwicki wcale nie zabierał głosu. To człowiek spokojny, nie mieszający się do niczego, który lubi nad niczem nie myśleć, a słuchać tylko, co mu przełożony każe, przytem jako członek stowarzyszeń kościelnych »Róża« i »Perła mądrości« uczęszcza na kazania OO. Jezuitów.

Od nich dowiedział się, że to właśnie socyaliści t. j. ludzie najgorsi, jakich kiedykolwiek ziemia święta nosiła, urządzają w grzesznych i przewrotnych celach demonstracye 1. maja — i dla tego został dziś w warstacie. Zresztą i p. majster nie uwolnił go w tym dniu od pracy. To też obecnie podziela w zupełności oburzenie p. majstra, którego najbardziej to gniewa, że oddalić wszystkich za karę nie może, bo straciłby zdolnych ludzi i nie wydołałby licznym zamówieniom. Rzucał się p. majster, skakał, pienił się, lecz nie mogąc się zemścić, potoczył się wkrótce do pobliskiego szyneczku, aby zalać złość i poskarżyć się na lenistwo i niewdzięczność swoich ludzi przed p. Łapikwart, majstrem stolarskim, którego spodziewał się tam znaleść.

Wyzuwicki został sam. Przyzwyczajony codzień rano brać się do pracy wraz z towarzyszami, dziś osamotniony — bo i terminatorzy gdzieś się ulotnili — stanął przy ścianie, skąd roztaczał się widok na ulicę i popadł w zadumę. Po ulicy snują się małe grupy robotników, wszyscy odświętnie odziani, na twarzach ich radośc a w oczach otucha i nadzieja jakaś dziwna, nieokreślona. Idą, gwarząc lub nucąc z cicha. Miasto przybiera fizyognomię niedzielną. A Wyzuwicki stoi i patrzy i choć tak nie lubi wszelkiego myślenia, musi myśleć i myśli same tłoczą się do głowy.

Czemu oni tak dzisiaj wszycy weseli, czego się spodziewają, czego chcą. Ksiądz jezuita żadnego święta nie zapowiadał, a tu tyle ludzi nie pracuje, jak w uroczyste święto.

I przyszły mu na myśl słowa Staszka i zaczął każde z nich rozbierać, rozważać, porównywać ze słyszanem w kościele i — o dziwo — nie mógł dopatrzeć w żadnem słowie, ani cienia zdrożności, bezbożności lub czegoś podobnego. Kto tu ma słuszność, czy Staszek, jego towarzysz pracy, na którego uczciwe postępowanie codzień patrzy i którego zna jako uczynnego i serdecznego chłopaka, czy też ten tajemniczy jezuita Szwarc, który piorunuje na socyalistów z ambony, a którego czynności poza kościołem on kontrolować nie może.

W tej chwili przeszła większa grupa robotników ulicą i jakiś ciekawszy zaglądnął przez szybę u drzwi do warstatu p. Moczymordy. Wyzuwicki mimowolnie cofnął się i przykucnął, aby nie być widzianym. Gdy obcy odszedł, Wyzuwicki wyszedł na środek warstatu i uśmiechnąwszy się, zapytał sam siebie, dlaczego chciał się ukryć przed obcym wzrokiem. Przecież niczego złego nie czyni, czegoż miałby się wstydzić, przyszedł do warstatu, jak w każdy dzień powszedni. Lecz w tej chwili usłyszał jakiś głos wewnętrzny z głębi serca: To nie jest dzień powszedni, to jest wielkie święto robotnicze, to jest uroczystość, której w całym roku nie ma równej, a ty pracując dziś, powinieneś się wstydzić. Czyż ty chcesz być nędznym wyrzutkiem z grona towarzyszy, czyż ci wstyd nie pali czoła, że kiedy bracia twoi wołają do możnych tego świata: „dajcie nam nasze prawa, dajcie nam byt godny człowieka“! ty swojem zachowaniem się potwierdzasz zdanie wrogów ludu roboczego, którzy powiadają, że robotnicy są zadowoleni i szczęśliwi.

Wyzuwicki gwałtem chciał się opędzić od tych myśli, jak od much dokuczliwych i sam nie wiedząc, co robi, pochwycił za młot. W tej chwili uderzyły w jego uszy potężne dźwięki marszu majowego:

Dziś nikt nas do pracy nie zmusi
Bo dzień ten przez lud jest obrany,
By poczuł, by poznał swą godność człowieczą.
By zerwał, by . . . .

To demonstrujący robotnicy przeciągali z pieśnią na ustach przez miasto. Wyzuwicki nie wytrzymał. Cisnął młot o ziemię, zatrzasnął drzwi warstatu i w jednej chwili znalazł się wśród demonstrantów.

Józek.

Pierwszy Kwietnia a Pierwszy Maja.

Szkic.

W chwili, kiedy zima ostatnie siły wytęża, aby świat zatrzymać w swym lodowatym uścisku, kiedy zawiera przymierze z najsroższymi z surowych wichrów wschodu i północy, aby zmrozić i zniszczyć wszelki zadatek wiosny w przyrodzie, w takiej to chwili dnia 1. kwietnia 1815 r. urodził się jako syn zadłużonego szlachcica pomorskiego — człowiek — którego przeznaczenie było, być jednym z ostatnich wielkich bojowników za ciemnotę i niewolę ludów i za panowanie reakcyi. Ten potężny bojownik — to żelazne bożyszcze dzisiejszych oficyalnych Niemiec, to... książę Bismark.

Czy zaprawdę nie dziwny to palec losu, nie dziwny a mimowolny, ale niemniej gryzący dowcip historyi? Oto w chwili..., kiedy złoty promień wiosenny swobody, począwszy od rewolucyi francuskiej, w szeregu ruchów ludowych — topił lody nagromadzone przez możnych, kiedy jutrzenka wolności zdawała się być bliską, Boreasz pruskiej północy, Bismark, dnie marcowe uroczej wiosny 1848 r. zamienił w kwietniowe mrozy i śniegi reakcyi i niemi jak całunem przykrył Europę. Ale tak, jak śniegi kwietniowe giną w cieple wiosennych podmuchów, tak dziś całun wstecznictwa bismarkowskiego pęka w kawały, a m a j o w e słońce wolności ludów przenikać poczyna najodleglejsze zakątki.

Skądżeż jednak ten człowiek zaczerpnął siłę taką, kto mu dał moc ową piekielną, która mu pozwoliła na tak długo milionom ludów nałożyć obroże na szyje i prowadzić na smyczy niby swe psy kanclerskie? Wszak ludy były silniejsze niż on, a idea wolności i równości demokratycznej mocniejszą i moralniejszą niż samowładztwo. Tak, lud jest silniejszym, ale lud świadomy praw swoich i świadom tego, że bez wolności życie społeczne, to jad i trucizna. Niewolnik zaś, nie odczuwający swojego upokorzenia, jest tą ciemną potęgą, której i każdy mający moc ducha i siłę pięści użyć dla swych celów potrafi. A im większy tłum t a k i c h niewolników, tem potężniejsi są ich panowie — Bismarki. I oto tajemnica rządów, polityki, dyplomacyi i powodzenia Bismarka. Instynkt krzyżacki średniowiecznego rycerskiego rabusia szeptał mu ową zdrową, realną myśl, że brutalna kanciasta pięść ciemnego żołdaka z łatwością roztrzaska i najmędrszą i najmoralniejszą czaszkę filozofa, że *„siła jest przed prawem“*. Rozum i obserwacya bystra pokazywała mu miliony ciemnego ludu, który wytresowany dobrze, w takt bębna i trąbki będzie mordował i wyrzynał w pień co mu każą i jak mu każą.

Kanta*) nie czytał, ani o jego teoretyczne wnikanie w niemiecką służalczą naturę (deutsche Bedientennatur) nie dbał, ale za to znał ją na wylot ze swoich praktycznych junkrowskich doświadczeń i umiał jej zażyć. Metoda jego była więc prostą i jasną.

»Wymustrowane pruskie bataliony to siła, nią złamię wszystkie przeszkody stawiane w imię baśni mamek filisterskich o wolności, prawach przyrodzonych i kulturze.« Był zaś na tyle otwartym i pewnym siebie, że marzycielom mieszczańskim rzucił bezczelnie prawdę ową w oczy, a kiedy objął w 70 latach przewodnictwo ministeryum pruskiego, umiał »zasady bez zasad«, jak sam dumnie o swoich przekonaniach mówił, zamienić w czyn. Zdeptał więc nogami w czasach głośnego sporu między postępowcami a królem, zagwarantowane niegdyś przez koronę prawa, a na wszelkie protesty odpowiadał wymownym gestem, wskazującym na las bagnetów żołdackich. Ale dla natury o tak chciwej osobistej władzy za mało było Prus, on postanowił świat cały uczynić pruskim, chciał, aby wszyscy karki ugięli pod jego kirasyerskim butem, i aby przed pikelhaubą pruską kłaniano się, jak niegdyś w Szwajcaryi przed kapeluszem Gesslera.

I naprzód na współkę z Austryą napadł na malutką Danię i w r. 1864 urwał jej kawał czysto duńskiego kraju, potem jednak, aby ów Szlezwig Holsztyn zagarnąć wyłącznie dla Prus i pozbyć się Austryi rywalizującej co do siły w Związku niemieckim, wypowiedział jej wojnę w chwili, gdy walczyła z Włochami i zgniótł ją na polach Sadowy w r. 1866. Austrya przez to nazawsze opuściła Związek (Bund) i politykę wielkoniemiecką i zmuszoną została jąć się polityki równouprawnienia narodów u siebie. Sprusaczeniu Niemiec — bo to było celem dalszym »zjednoczenia« — stał jedynie na przeszkodzie przemożny wpływ Francyi i Napoleona III. Małego. Wprawdzie już przedtem »zjednoczył« Hanower z Prusami zdarłszy, mimo całego swego monarchizmu, bez ceremonii koronę z głowy następcy króla hanowerskiego, ale teraz miało nastąpić zjednoczenie w większym stylu.

Wojna z Francyą była więc dla niego konieczną, a on przyspieszył ją sfałszowaniem sławnej emskiej depeszy Wilhelma I. Francyę zwyciężył, upokorzył, pozbawił ją dwóch najpiękniejszych prowincyi i na gruzach wpływów francuskich krwią, błotem moralnem i żelazem sklepił i skuł jedność niemiecko-pruską. Cel swój osiągnął. Zapewnił sobie rządy niepodzielne w Prusiech — Prusakom dyktaturę w Niemczech — Niemcom pierwszeństwo w Europie. Sam został pierwszym kanclerzem Niemiec „i bał się teraz tylko Boga....“

Z „bożą“ pomocą począł robić w Niemczech wewnętrzny »porządek«. Powszechne prawo głosowania, dopuściwszy ciemne masy do urn wyborczych, miało zniszczyć wpływ polityczny mniej licznej wrogiej burżuazyi. Polacy, Duńczycy i Francuzi powinni być za wszelką cenę zniemczeni, a katolików musi się napoić duchem protestanckim. I rozpoczął się według powyższej melodyi wściekły ów taniec, który Niemcy do dziś po bezdrożach prowadzi.

Nakoniec przyszła kolej na socyalistów... Dopóki się w latach 70-tych jemu zdawało, że tak zwanych lassalleańczyków zdoła przykuć do swego rydwanu i w ten sposób osłabić liberałów, dopóty socyalistom nie stawiał w agitacyi wybitnych przeszkód. Po wojnie jednak 1871, jak zmiarkował, że wpływ ich rośc poczyna i to dzięki powszechnemu głosowaniu — wnet począł doświadczać swej siły. Więzienia i kary posypały się jak z rogu obfitości. Ale jemu tego było za mało. Zą pomocą, przez uchwałę parlamentarną wydanej w r. 1878 ustawy wyjątkowej przez lat 12 pastwił się bezlitośnie nad każdym, który uchodził za socyalistę. I oto stanął u szczytu swojej potęgi. Półbożek klas rządzących w Niemczech, głowa i ręka cesarza, trząsł Prusami, Niemcami i światem. Wrogowie jego zewnętrzni i wewnętrzni zgnieceni, upokorzeni, bezsilni... Siła brutalna stała się dogmatem, w którą wierzyli wszyscy i bili pokłony... Bagnet i działo i karabin ulepszony uznane za jedyne dobytki kultury. I każdy kraik, bogdaj jak mały, tworzył sobie swoich Bismarczków i pomnażał panowanie bagnetów. I zaroił się świat cały od Crispich, Stambułowów i Christiczów serbskich, a nawet i nas, o wstydzie!... los nie ominął. Wszędzie, wszędzie znaleźli się ludzie, którzy potęgę swą budowali na ciemnocie i na bagnetach.

I Bismark b y ł wielkim. Był, bo dziś... dziś jest inaczej. Dziś wydarto mu władzę z dłoni, pozbawiono go możności panowania. A wydarła mu władzę siła, którą on w swoim interesie starał się wzmacniać, wydarła mu władzę monarchia... Wnuk Wilhelma I. wypędził rządcę domu swego dziada... Ów wszechmocny świata pan, dziś bezsilnym, złamanym starcem. A świat... świat idzie tą drogą, jaką posiedziały dawno już niego.

Socyaliści wolni od ustaw wyjątkowych, rosną w siły i drwią z wszelkich gróźb jego dawnej straży przybocznej. Znienawidzone centrum katolickie prym wiedzie w jego parlamencie. Uciskane i gwałcone zaś narody nie niemczą się wcale.

A gdzieindziej? Gdzieindziej! Oto Stambułów runął w Bułgaryi, nadna karykatura panamska Bismarka, Perier, opuścił trwożnie stanowisko, Crispiego i Christicza zaś dni policzone. Obraz ten sam.

*) Najsławniejszy niemiecki filozof.

I oto kiedy w 80-letnią rocznicę, dnia 1-go kwietnia wszyscy wielbiciele przemocy, którym jego polityka niosła kęsy tłuste i pożywne — składali mu krzykliwe życzenia — to »jego« parlament odważył się nie przynieść jemu ni życzeń, ni darów. Co więcej, ten parlament, aczkolwiek sam obdarzony „oburzeniem“ cesarza, żyje sobie dalej spokojny — pewny, że go nie odeszlą do ludu niemieckiego, bo lud za nim stoi. Bismark dziś po przez wszystkie dymy oficyalnych kadzideł, po przez wszystkie wrzaski tem głośniej krzyczącej, im mniej licznej wiernych garści, widzi rozpadającą się w gruzy swoją świątynię siły pruskiej i słyszy już zbliżające się kroki zwycięskiej demokracyi.

Pierwszego kwietnia stanęło przed nim potężne widmo święta majowego — widmo socyalizmu. »Tyle serc bije miłością dla książęcej mości« — szeptał mu niedawno pechlebca. — »A tyle nienawiścią« — dodał żelazny.

Tak, nienawiścią bije dlań serce ludu, ale nienawiść ta to nie chwilowy wybryk fantazyi, to nie ów kaprys tłumu jerozolimskiego, który wołał dziś: »Króluj nam«, a jutro »Ukrzyżowaj go«, nie, to wyraz głębokiego pragnienia wolności i sprawiedliwości w życiu społeczeństw. A owo tak żywe i tak potężne pragnienie, które dziś przeniknęło całą świadomość klasy roboczej, pragnienie wolności, to rękojmia, że Bismark jest ostatniem z owych wielkich ogniw, które, począwszy od Ludwika XIV, tworzyły łańcuch zakuwający w niewolę ludy... Pragnienie demokracyi zupełnej uczynienia wszelkich duchowych i cielesnych zdobyczy kultury, wszelkiej nauki, sztuki i uciechy własnością narodu. To socyalizm...

Wyrazem tego dążenia Pierwszy Maja. A chociaż w dniach marcowych w r. 1848 wiosnę wolności ludów zmrożono na lat dziesiątki, to przecież wiosny nie zniszczono. Wiosna przychodzi, a wita ją wstające majestatycznie z puchowego łoża przejrzystych obłoków słońce i wita ją las dłoni czarnych, spracowanych, wyciągniętych ku Niej, ku Potężnej... A po wiośnie, później tem lepsze i urodziwsze lato czeka ludzkość.

K. Mokłowski.

Rewolucya?..

Hej! wszyscy bądźmy rewolucyoniści,
A wszyscy będziemy l u d z i e!

K. Brzozowski.

Przywykliśmy przywiązywać do słowa »rewolucya« wyobrażenie rzezi, mordu i krwi rozlewu... a nie myślimy wcale o tem, że rewolucya znaczy właściwie przeobrażenie, zmiana stosunków, że nastąpić ona może pokojowo i nie kosztować ani jednej łzy... Nie o niej wszakże myślą przeciwnicy nasi, nazywając nas »partyą rewolucyjną« — na ich ustach znaczy to tyle, co: zbóje, burzyciele porządku.

A jednak rewolucyę w prawdziwem znaczeniu tego słowa, tj. przemianę sprowadzają i sprowadzały wszystkie stronnictwa i partye, każda myśl gorętsza i każdy wysiłek pracy...

W dziejach ludzkości snują się nieprzerwanie prawie jak dwie nici czerwone — dwa pasma rewolucyj. Jedno krwawe — to przewroty okupione łzami, niedolą i wolnością mlionów, mają coś z chytrych i fałszywych ruchów węża — nie wolno nazywać ich po imieniu, — książki — z wyjątkiem socyalistycznych — nie widzą w nich nic rewolucyjnego. Drugi równoległy szereg rewolucyj cechuje przedewszystkiem dążenie do sprawiedliwości. Najstraszniejsze ich wybuchy nie przelały tyle krwi, nie złamały tyle istnień, co najłagodniejsze przewroty »od góry«.

Znane bunty chłopskie nie dorównują srogością rewolucyjnym następstwom np. jednej udoskonalonej maszyny, która oszczędzając ludzką pracę, rozszerza się szybko po tysiącach fabryk i wyrzuca na bruk miliony ludzi. Na nic ich chęć i zdolność do pracy, na nic usiłowania, prośby, uczciwość... w brudnych, odległych zaułkach, w rozpaczliwej bezsilności patrzą na śmierć dzieci, na głodowe męczarnie żony i na własny upadek. Ta rewolucya, która wzbogaca kilku wyzyskiwaczy, zabija chyłkiem, cichaczem miliony ludzi, szerzy śmierć i zwyrodnienie, szerzy materyalną nędzę i moralny upadek — a jednak nikt nie przyznaje, że jest ona rewolucyą.

Równolegle z nią bieży — jak w ciągu ludzkich dziejów, tak i teraz — inna rewolucya — nie żąda ona ani ofiar, ani krwi, na płomiennym swoim sztandarze wypisała szczytne hasła: wolność — równość — braterstwo. „Będziemy wspólnie pracowali i wspólnym będzie pracy plon“ — głoszą słowa jej „zakazanej“ pieśni. W jej szeregach stoją ludzie zahartowani w pracy, silni doświadczeniem, wielcy poczuciem jedności i misyą, jaką spełnić mają. A jakże obcymi im krwiożercze instynkta i chęć urządzania gwałtownych przewrotów! Mają siłę niezrównaną, mają pewność zwycięstwa, mają milionowe szeregi, a jednak nie urządzają mordów ani rzezi. Z imponującą godnością dopominają się praw swoich, armia ich rośnie, pokrywa wszystkie kraje, wszystkie części świata, walczy, ciągle walczy — ale bez krwi przelewu.

Piękny, jasny dzień majowy obrali sobie za święto braterstwa i pracy. Dzień to walnej bitwy dla nich — czy krew się w dniu tym leje? czy płoną dobytki ich wrogów?

Nie! tysiączne zastępy ludu porzucają jeno codzienną pracę, wstają jak olbrzym milionowy, po to, żeby naradzić się, pokrzepić wzajemnie, dodać zapału i otuchy, żeby widokiem swojej siły i jedności przerazić tych „u góry“ i przypomnieć im: *dajcie nam praw naszych, dajcie póki czas!*

Ośmiogodzinny dzień pracy i powszechne, równe i bezpośrednie głosowanie — oto najbliższe na teraz żądania „przewrotowców“, rewolucyonistów, „nieprzyjaciół porządku“....

Helena Rawska.

Pierwszy Maja w fabryce.

Duszno i skwarno w fabryce, młoty raz wraz padają w rozgonione żelaza; piły parowe tną w innej stronie sztaby stalowe — a przeraźliwy zgrzyt pilników muzyki tej dopełnia. Wpółcieniu snują się postacie robotników. Obnażone ich ramiona, od sadzy zczerniałe twarze potem zlane. Od czasu do czasu cichy szept przelatuje szeregi pracujących. Jakby różczką czarodziejską dotknięci, patrzą na siebie tęsknem okiem — tam ich dusza się rwie po za te szyby, po za te mury — tam do braci, co zeszli się w uroczystej chwili sprawę zdać z czynności całorocznych. Tam tysiące roboczego ludu stanęło dziś razem — pocieszyć się widokiem ogromu swojego, nabrać otuchy do walki dalszej, do tej strasznej, żmudnej walki o dobro i byt — które przecież bez walki mieć by się godziło. Tam rankiem się naradzali, potem swobody użyli — a teraz się bawią razem — weseli, że swój dzień święcą.

A tu w fabryce kują dalej młoty jękliwym jakoś dziś głosem — i piły żelazne warczą niechętnie — i ogień na ogniwach jakiś bledszy i ludzie jakoś nie weseli i powietrze nawet jakieś nie swoje.

A dlaczegoż oni nie poszli? Czy odwagi im brakło? Czy siły skupienia nie mieli?

Sami nie wiedzą co rzec mają.

Ilokroć szept cichy sunie między nimi, tyle razy skarga w nim zawarta, skarga na kogo? Chyba na siebie samych? Ustalenie bytu im zapowiedziano, karą zagrożono nieobecność w tym dniu — a że oni nie wszyscy jednego ducha, że nie skupili się w szeregu jako jedna drużyna robotnicza, więc musieli wszyscy przyjść — bo tylko wszyscy razem coś zrobić mogą. Darmo jedni wołali: „Tylko żądania robotników, tylko ich napieranie zmusiło naszych kacyków do przyrzeczeń, że nam dolę poprawią, że nam byt ustalą. Gdyby nie działalność partyi robotniczej, dalejby nas gnębiono, dręczono — tej działalności zawdzięczamy, że nam ustępstwa czynią. Róbmy dalej z tym ogółem naszych braci — a i im i sobie byt zapewnimy.“ Próżne napomnienia! Za fałszywymi mistrzami idą inni. Ci mistrzowie uczą, że „pokorne cielę dwie matki ssie“ — więc w pokorze dziękując za łaski pańskie, pragnąc ssać dwie matki — cielętami zostają. Oni wierzą, że panowie z dobrej woli wszystko dali, że postąpili „szlachetnie“, więc z wdzięczności pracą chcą zasłużyć na łaskę. Ze tysiące innych w złej doli, że miliony bez prawa żyją, że moc niezliczona bez pracy a oni za wiele jej na siebie biorą — to im nie weszło na myśl. Aż dzisiaj tęsknota jakaś umysł ogarnia, żal serce ściska, z pochylonem czołem posuwają się bezduszni prawie przy pracy — czują się niewolnikami własnego tchórzowstwa, własnej niezgody, własnego bezmyślnego sobkowstwa. Ulegli, i zgnębieni czują dziś straszny pogrom swój — czują kajdany — jakie sami na siebie włożyli.

A kiedy wieczorem idą ku domowi, kryją twarz pełną wstydu, bo panowie z dumą stanęli u wejścia i w rozmowie swojej chwalą „poczciwych swoich robotników, co się nie łączą z buntatorami“. A pochwała ta rozognia jeszcze bardziej ranę i wyrzuty sumienia — i czują oni zdradę, jaką popełniają.

A właśnie u samej bramy stoi staruszek — złamany we dwoje, zgarbiony, twarz zmarszczkami poorana, cały jakby szczypa wyschnięty — trzęsącą się dłoń wyciąga i drżącym powiada głosem:

„Nie świątkujecie dzisiaj — nie nie straciliście z zarobku, dajcie groszy parę staremu koledze w dzień uroczysty“.

Grosz za groszem w nędzną dłoń się wsuwa — jakby w pokutę — bo to obraz łaski pańskiej przed ich oczyma.

Lat wiele niósł swą pracę, lat wiele pobożnie żył — uczciwie pracował — a dziś ma tylko wnuczkę do wychowania, ale chować ją może żebranym chlebem — bo za stary do pracy, „ma prawo“ dłoń wyciągać koło bramy fabryki.

I w niejednem oku łza zaświeciła wiele kołnierzy podniosło się, by twarz zakryć, bo ulicą idą ludzie — co wiedzą, że to święto robotnicze — a ci nie świętują.

* * *

Choć w tej fabryce i młoty i ludzie bezduszni i piły nie spoczywały - to jednak święto robotnicze głębiej się w ich myśl wryło - jak u tych co świętowali. Kajdany, których nie czuli — dźwięczały dzień cały i przypominały niewolnikom własnej winy — że pokora niewoli jest matką — a córką niezgody i sobkowstwa.

Nadejdzie rychło dzień, gdzie nie będzie niezgody — ani tchórzowstwa — odważni a zgodni zdobędą prawo, wolność i byt. Odwagi doda im święto nasze — a zgodę wytworzym, zapalając wszędzie światło prawdy — światło płonące ogniem szczerego przekonania, że tylko w socyalnej demokracyi zbratanie ludu!

K. Nacher.



Wychodźcy.

— Matuleńko, mówcież że mi,
Dokąd idziem po tej ziemi?
Noc posępna, grzmi ulewa,
Wicher z hukiem łamie drzewa.
A na czarnem niebie w dali
Kilka krwawych łun się pali...
Ach, jak tęskno tu, mateczko.
Za chateczką, za wioseczką,
Gdzie szumiały złote kłosy,
Gdzie dzwoniły ptasząt głosy,
Gdzie żniwiarzy tłum wesoły
Zbierał plony do stodoły,
Gdzie twarz każda tak radosna
Niby kwiatek, niby wiosna...
I my świat ów pożegnali,
By tak błąkać się tu w dali? —

— Nie płacz, nie płacz, ma dzieweczko,
Za wioseczką, za chateczką!
Nie płacz, mała!... Nasze pole
Zarastają dziś kąkole.
Prawie każdy człowiek z wioski
Siał nadzieję, zbierał troski!
Ojciec przodem ruszył, dziecię,
By zarobek znaleść w świecie.
Z płaczem drogą chatę rzucił,
Poszedł, poszedł i nie wrócił...
Nie tak dziko wiatr wygrywa,
Nie tak groźna noc burzliwa,
Nie tak straszno, nie tak ciemno —
Głodna jesteś? O, pójdź ze mną!
Tam, gdzie huczy grzmot ze stali,
Tam, gdzie jasność bije w dali,
Tam, gdzie łuny krwawią nieba
Idziem, dziecko, szukać chleba!

— Matko, matko! Tam daleko
Łza nie zaschnie pod powieką...
Słychać jakiś huk ponury,
Jakieś wrzaski śród wichury,
Dołem ciemność a z wysoka
Łuna niby krwi posoka,
Jakiś łoskot, poświst wrogi —
Och, zawróćmy, matko, z drogi! —

— Nie czas, nie czas, moja mała,
Gdy nas dola tu zagnała!
Grzmią maszyny dookoła,
Klątwą świecą ludzkie czoła,
Czarne dymy błękit mroczą
I strudzeni bez sił kroczą —
Źle nam, źle nam na tym świecie,
Lecz żyć trzeba moje dziecię! —

— Matuleńko, mówcie tedy,
Czemu to tam tyle biedy?
Czemu klątwą świecą czoła?
Czemu tak nam źle dokoła?
Czemu we łzach ludzie biedni
Zdobywają chleb powszedni?
Czemu innym na tej ziemi
Nigdy tak się świat nie ściemi?
Czemu Pan Bóg dla swych dzieci
Jednej doli nie rozniecí?
Czemu dziatwie najwierniejszej
Daje żywot najciemniejszy
A gdy na jej łzy spoziera,
Tylko liczy, nie ociera?...
Matko, czemu nie żal Jemu
Tak żyć kazać... Czemu? Czemu?„

Tak szeptało drobne dziecko
Dążąc błonią mazowiecką
Obok biednej swej macierzy,
Gdzie fabrycznych świat rubieży
Tytanicznych łun pożogą
Pośród nocy świecił wrogo.
Matka milcząc przodem kroczy
Tylko chustą kryje oczy —
Lecz szumiały głucho drzewa,
Szumiał wicher i ulewa,
Noc szumiała mazowiecka
Zapytaniem tego dziecka.

Kilka słów o prawach politycznych kobiet.

W dniu dzisiejszym, w dniu, w którym cały zsolidaryzowany proletaryat uświadamia sobie wspólność swych interesów, zacieśnia i wzmacnia węzły międzynarodowego braterstwa swego, w dniu tym łączą i kobiety słabe swe głosy z ogólnym chórem żądań proletaryatu zjednoczonego.

Wiadomą jest rzeczą, że w walce o ekonomiczną wolność klasy robotniczej — są prawa polityczne bronią pierwszorzędnej wagi, dlatego też dostarczenie jej, pozbawionemu tej broni, proletaryatowi w Austryi — stało się głównem zadaniem socyalnej demokracyi, która w programie swym żądania te stawia. Przekonania tego socyalnej demokracyi nie podzielają jednak ci, którzy widzą się, przez urzeczywistnienie tych żądań, w władzy swej zagrożeni. Gdy jednak, myśl o zrównaniu w prawach politycznych wszystkich klas społecznych, strachem ich przejmuje — to żądanie równouprawnienia pod tym względem i kobiet wydaje im się wprost monstrualnem. A jednak żądania kobiet z naturalnego biegu faktów społecznych wynikły — a jako takie nie dadzą się usunąć! Kobiety doszły już do świadomości, że również w wielu sprawach rozstrzygać mają prawo!

Za przyznaniem kobietom praw obieralności i głosowania — powiada Bebel — przemawiają wszystkie te same względy, które przytaczać się zwykło na poparcie tychże żądań mężczyzn. Z chwilą, kiedy miliony kobiet pracuje i samodzielnie na swoje, a często i rodziny swej utrzymanie zarabia — odpada główny zarzut im czynony, jakoby nie były siłami produktywnemi w społeczeństwie. Udział kobiet w rozmaitych zawodach przemysłowych, w handlu, drobnym przemyśle, na polu nauki, sztuki, wychowania publicznego — z każdym zwiększa się rokiem. Wszystkie zaś te kobiety wielce interesują się rozmaitymi zmianami, reformami w państwie, nieobojętne są im też wszelkie sprawy polityczne, od których pokój lub wojna, praca lub brak zarobku zawisły. Nawet kobiety zamężne śledzą to wszystko z zainteresowaniem, gdyż od dobrej woli, inteligencyi i siły ich mężów — dobro rodziny całej zależy. Pamiętać też należy, że jest kilka milionów kobiet, które same bez męskiej pomocy o byt walczyć muszą. Podatki pośrednie zarówno kobiet jak i mężczyzn dotyczą; gdy zaś kobieta popełni przestępstwo — sądzoną bywa według tych samych praw, co mężczyna. Ma więc te same obowiązki, dlaczegożby więc tych samych praw mieć nie mogła? W wojsku zaś nie mają obowiązku służyć kobiety, gdyż za to rodzą i wychowują przyszłych żołnierzy, a przez to więcej narażają życie swe i zdrowie, niż w służbie wojskowej żołnierze.

W czasach dawniejszych — powiada ten sam autor — posiadały kobiety równe z mężczyznami prawa. Rozwój jednak własności prywatnej i wynikłe stąd panowanie mężczyzny pozbawiły je tych praw. Stosunki nowoczesne zmieniły znowu stanowisko społeczne kobiety: z poddanej staje się ona towarzyszką mężczyzny, a to niewątpliwie wpływa i na rozwój jej praw politycznych.

W Stanach Zjednoczonych, w Anglii, Szwecyi, Francyi, a nawet w Niemczech posiadają kobiety już pewne prawa polityczne — a chociaż wiele jeszcze pozostaje do wywalczenia, zawsze jednak i to więcej już jest, niżby spokojny nasz filister przypuszczał.

W Austryi kobiety żadnych praw politycznych nie mają — lecz jest to tylko kwestyą czasu, kiedy żądania ich zaspokojonemi będą; socyalna demokracya jedyną jest partyą, która je w swoim stawia programie. Pamiętać o tem winny kobiety, jak wogóle o tem, że sprawa ich z ogólnemi ekonomiczno-społecznemi sprawami się wiąże, że należy pochwycić związek własnej sprawy z ogólniejszymi interesami ludzkości.

Eliem.

Wśród ruin.

W chwilach, kiedy jakieś społeczeństwo chyli się do upadku, kiedy naprężenie jego stosunków ekonomicznych doszło do najwyższego stopnia, kiedy choroba moralna na wskróś je ogarnęła, wszystko co w niem było dobrego i pięknego, objęła zgnilizna, a zarodek nowego ustroju rozwija się w jego łonie, żyć poczyna silnem tętnem zdrowego organizmu i rozsadza spróchniałą, rozpadającą się, starą budowę społeczną, — w takich chwilach życie umysłowe szczególny przybiera charakter. Z jednej strony śmiałe głosy pewnych zwycięstwa bojowników, — z drugiej pełne niepokoju i zwątpienia jeremiady. Żyjemy właśnie w takich czasach.

„Chciałbym tu szczególnie zaznaczyć“, pisał przed pół wiekiem niemiecki poeta Heine — „jak nieobliczalnie korzystną jest dla komunizmu ta okoliczność, że wróg, którego zwalcza, mimo całej swej potęgi jednak sam w sobie żadnego moralnego oparcia nie posiada. Dzisiejsze społeczeństwo broni się jedynie z płytkiej konieczności, bez wiary w słuszność swej sprawy, ba nawet bez szacunku przed sobą samem, zupełnie jak owo starsze społeczeństwo, którego zgniła budowa runęła, gdy przyszedł syn cieśli“.

Łono kapitalistycznego społeczeństwa trawią sprzeczności nie dające się dłużej zakrywać frazesami, — sprzeczności klasowe pociągające za sobą cały szereg innych. Dobijając się władzy, zburzyła burżuazya wszystkie bogi, dobijając się mienia, wszelką moralność. Obłudą stały się jej związki rodzinne, kłamstwem prawa społeczne, hipokryzyą przekonania religijne. Inteligentniejsze jednostki z pośród niej doszły do wniosku, że ten stan rzeczy nie da się utrzymać. Nie mogąc się jednak wznieść ponad ciasny widnokrąg umysłowy swej klasy, nie mogąc

się oduczyć patrzeć jej oczyma, myśleć jej wyobrażeniami, nie poznały one, że przyszłość należy do proletaryatu, że jedynie walcząc za jego ideały, można się przystosować do nowych warunków, uratować własną przyszłość. Do tego przyczynia się w wysokim stopniu zwyrodnienie fizyczne. Nieograniczone używanie klas rządzących wycieńcza siły ich członków, rozstraja ich nerwy, odbiera im energią, pozbawia ich siły woli. A dużo trzeba mieć energii i silne nerwy, by wyrwać się z błogiej nieczynności i podążyć na pole walki. Stąd to pochodzi, że ludzie, o których mówimy, nie mogąc trafić do wrót prawdziwej nauki, która jest po naszej stronie, i wskazuje środki walki z dzisiejszym systemem, podobni są do zbłąkanych podróżnych, szukających drogi po omacku w ciemnościach, lub do tonących, chwytających się źdźbła słomy jakby deski ratunku. Gorączkowość, niepewność, niepokój i dziwaczność cechują te rozpaczliwe usiłowania. Każdy w nich wynajduje coraz to nową jakąś przyczynę społecznego rozstroju i nowe jakieś — o niezawodne! — na nią lekarstwo. Albo też i nie szuka nawet lekarstwa. Tych ostatnich jest bardzo wiele.

Nawet na wyszukanie jakiejś drogi i na usiłowanie wydostania się po niej, potrzebna jest pewna ilość energii. Ludzie, którym i na tej zbywa, twierdzą, że złe tkwi nie w urządzeniach społecznych, które zmienić można, lecz w niezmiennych prawach przyrody, które człowieka przypadkiem, bez celu rzuciły na ten padół płaczu i na wieczne skazały go cierpienia; nie ma więc żadnej innej drogi wyjścia jak tylko powrót do nicości; lepiej zatem nie żyć niźli żyć. Ludzie, którym taka teorya służy za wymówkę od pracy społecznej, zowią się *pesymistami.*

Inni znów wahają się ciągle, czy warto żyć, czy nie, i wahając się w ten sposób całe życie, nie mogą się zdobyć na jakikolwiek krok, czyli tak samo jak i pesymiści nic nie robią. Nazywają ich powszechnie *hamletami.*

Do trzeciej wreszcie kategoryi zaliczyłbym tych myślicieli burżuazyjnych, którzy odważają się myśleć o jakiejkolwiek przyszłości. Nie stanowią oni jednak jednej szkoły. Rozumowanie ich zależy od ich indywidualności. Panują tu nader liczne kierunki stykające się w jednym punkcie, a różniące w innym tak, że trudno między nimi stałe poprowadzić granice. Weźmiemy tu pod uwagę najważniejsze z tych prądów.

Otóż jeden z nich przedstawia się w następujący sposób. Jakeśmy już wspomnieli burżuazya w walce z feudalizmem zburzyła wszelką wiarę, ogołociła świat z wszelkiej fantazyi, wszystkie zjawiska przyrodnicze i społeczne wytłómaczyła rozumowo. Gdy atoli rozwój społeczny przybrał groźny charakter, gdy stare społeczeństwo zaczęło się w zatrważający sposób rozkładać, wtedy pewna ilość słabych jednostek, nie mogąc znaleść oparcia w sobie, w świecie przyrodzonym, poczęła go szukać po za nim. Ale trudno cofnąć to, co wieki zrobiły, nie można wyrwać ze swego umysłu wszystkich zdobyczy kultury, — dla tego te jednostki nie zdołały się cofnąć do dawnej naiwnej wiary, lecz stworzyły sobie nieco zmienioną wiarę w świat nadprzyrodzony. Szukają one ukojenia we wszystkiem tajemniczem, starają się więc upatrywać wszędzie tajemniczość i zjawiska nadprzyrodzone. Są to tak zwani *spirytyści,* okultyści, mistycy i jak tam się jeszcze nazywają. Są to dusze schorzałe tak, jak pesymiści są duszami znużonemi. Wiele z nich skończy na fanatycznym katolicyzmie.

Drudzy zaś poza rzeczywistością, ale w samem społeczeństwie widzą zaród lepszej przyszłości i w tem się zgadzają z nami. Ale rozumowanie ich, a zatem i ich wnioski są zgoła różne od naszych. Zaznaczyliśmy na początku, że wszystkie te żywioły inteligencyi burżuazyjnej nie zdołały wyjść poza burżuazyjną sferę myślenia. I ta grupa, którą obecnie omawiamy, ulega temu samemu losowi. Ze stanowiska burżuazyi społeczeństwo przedstawia się jako zbiór jednostek walczących między sobą o byt, o szczęście. I dziś rzeczywiście panuje taka „walka wszystkich przeciw wszystkim“, objawiająca się w konkurencyi, wojnach, walkach klasowych itd. Na każdym kroku spotykamy tę walkę wiodącą ludzi do zatracenia w sobie wszystkich uczuć i zasad moralnych. Temu stanowi rzeczy i wypływającemu z niego światopoglądowi przeciwstawia socyalizm braterstwo wszystkich ludzi, w niem dla wszystkich upatrując szczęście. Burżuazyjni jednak ideologowie nie mogą sobie wyobrazić ustania tej walki między ludźmi, nie mogą wyjść poza obręb pojęcia społecznej walki o byt. A więc szczęścia nie upatrują w zniesieniu tej walki, jak my, ale w doprowadzeniu jej do ostateczności. Chwyciwszy się pięknego frazesu o wolności, twierdzą, że człowiek wtedy będzie szczęśliwym, gdy będzie mógł robić, co zechce; dzisiaj jest on krępowany przez wszystkie urządzenia społeczne, które należy znieść zupełnie, by każda jednostka była w stanie zdobywać sobie wszystko, na co jej tylko siły fizyczne i umysłowe starczą. Pomijając już niemożliwość urzeczywistnienia tej fantazyi pozbawionej wszelkich podstaw naukowych, musi każdy myślący człowiek przyznać, że gdyby się udało wprowadzić taką wolność, to w tej „walce wszystkich przeciwko wszystkim“ zwyciężyliby mocniejsi i przebieglejsi słabszych i mniej przebiegłych i powstałoby znowu społeczeństwo klasowe takie, jakie dziś istnieje. Tego jednak nie widzą wyznawcy przedstawionej tu teoryi. Niektórzy z nich usiłują urzeczywistnić to i ci nazywają się *anarchistami.* Inni zaś, którzy niemają odwagi robić coś w tym kierunku, lecz tylko dużo krzyczą i piszą, nazywają się skromniej nieco — *indywidualistami.* Niektórzy z tych ostatnich wypierają się nawet pokrewieństwa duchowego z anarchistami, które się jednak nie da zaprzeczyć. Nie wszyscy z nich jednakowo sobie tę przyszłość ludzkości wyobrażają, godzą się jednak na te zasady, któreśmy tu przedstawili.

Przedstawione tu kierunki filozoficzne i społeczne opanowały współczesną sztukę burżuazyjną. Plącząc się ze sobą niejasno wytworzyły w niej dziwaczny, chorobliwy kierunek zwany *dekadencyą.* W malarstwie przedstawia on się jako zwrot do mistycznego, symbolistycznego sposobu tworzenia prerafaelitów (średniowiecznych katolickich malarzy), jakoteż w dążeniu do podniecania nerwów, działania na fantazyą i wywoływania odpowiedniego nastroju przez silne kontrasty barw. Jestto tak zwany *impresyonizm.* W muzyce przejawia się ten prąd w utworach W a g n e r a i jego zwolenników.

Najciekawiej przedstawia się ten kierunek w literaturze. Widzimy tu mięszaninę wszystkich wymienionych prądów zastosowanych na najdziksze sposoby. Rezultatem tego jest mistyczna, chorobliwa, denerwująca poezya, zwana *dekadentyczną* lub *symboliczną.*

Tak wygląda dzisiejsze życie umysłowe burżuazyi. Są to ostatnie podrygi konającego na uwiąd starczy organizmu.

Ale wśród tych ruin rozwija się nowe życie, niby bluszcz, który coraz silniej oplata rozsypujące się kamienie, coraz głębiej pomiędzy nie zapuszcza korzenie, coraz bardziej je rozsadza. — Proletaryat walczy teraz o swe prawa, więc sfera duchowej jego działalności jest odmienna od burżuazyjnej. Przeważa w niej nauka, z niej bowiem czerpie on swą broń. Sztuka, ma się rozumieć, nie może u niego na razie kwitnąć. „Wśród szczęku broni milkną muzy“. Obecna poezya proletaryatu, to pieśń bojowa. Sztuka ludowa rozwinie się dopiero, gdy proletaryat zwycięży, gdy już nie będzie skazany na walkę o chleb codzienny i o prawa swoje. Ale już dziś widać zarody młodej sztuki ludowej tchnącej zdrowiem i siłą, stanowiącej rażący a korzystny dla niej kontrast do płodów schorzałej i zboczonej fantazyi dekadentów. *H. S.*

MYŚLI.

Niechaj kilku filozoficznych lokajów kuje najdelikatniejsze wywody, aby nam udowodnić, że miliony ludzi stworzonymi są na zwierzęta juczne kilku tysięcy uprzywilejowanych rycerzy; przecież nie przekonają nas o tem tak długo, jak długo, mówiąc z Voltairem, nie udowodnią, że tamci przyszli na świat z siodłami na grzbiecie, a ci z ostrogami u nóg. *Heine.*

Pan Majster o 1. Maja.

(*Niby monolog*).

— Proszę mi też powiedzieć, co wam przyjdzie z tego 1. Maja? Czy któremu choćby dwa centy do kieszeni wpadną, czy co? Gdzie tam, tylko strata i strata. Nie będziesz jeden z drugim robił, nic nie zarobisz; a do tego stracisz, bo musisz kupić odznakę, jednodniówkę i Bóg wie co jeszcze — no a przecież »manną bożą« żyć także nie będziesz, z tym na szklankę piwa, z tym na wódkę pójdziesz i oto masz zysk...

— Mało wam świąt jeszcze!... Trzeba wam więcej? No, proszę! Widać za dobrze wam płacą, za dużo macie pieniędzy... Żeby was bieda przycisnęła — tobyście chętnie wszystkie święta pokasowali, a nie dopiero robili sobie jakieś swoje własne... A co to znaczy swoje własne święto? U mnie święto jak mam pieniądze — a wy co macie, popatrzno się każdy na siebie: surduta porządnego żaden na grzbiecie nie masz, dzieci gołe i bose — a tobie się chce święta?

— A czy to święto ustanowił może ojciec święty, albo kto? Gdzietam! Ot! jakieś próżniaki, co im się robić nie chce. Żeby to było co dobrego, toby nie zakazywał tego święta, ani ksiądz z ambony, ani pan minister, co stało w gazecie napisane. Ale co wam o tem gadać, czy był który u jezuitów na rekolekcyach, czy zapisany do »lekkiej śmierci«? — gdzietam, do »Siły« — do socyalistów, w to wam graj! A skaranie boskie!

Zkąd to się wszystko wzięło? Jak ja był jeszcze czeladnikiem, to nie tak było jak dzisiaj, ale całkiem inaczej i było lepiej. Majster mój kupował kamienicę za kamienicą — a teraz co?! Żeby człowiek od rana do nocy za interesami nie chodził — temu i owemu w gardło nie nalał — tobyście z głodu pozdychali... Oj, było inaczej, całkiem inaczej! Czeladź spała w warstacie, jadła u majstra, a przyszła niedziela, majster prowadził wszystkich rano na mszę, potem na nieszpór, dał po »cwancygierze«, albo półtora i spokój, zgoda. Robota szła także inaczej. Piąta rano, już każdy stał przy warstacie, pracował cały boży dzień ochoczo, pilnie, aż do dziewiątej lub dziesiątej wieczór i czuł, że pracą Boga chwali, wiedział, że próżniactwo ciężkim jest grzechem. A teraz, pożal się Boże! Każdy z was chciałby żyć jak konsylarz. O szóstej to mu za rano do roboty — do ósmej za długo robić, a do tego chce iść do domu na obiad? Osiem godzin chcesz robić? No, proszę!

A cóżbyś jeden z drugim zarobił? Teraz robisz dwanaście, trzynaście godzin, zarabiasz reński, albo reński dwadzieścia; będziesz robił ośm godzin, zarobisz pięć albo sześć szóstek. Z czegoż będziesz żył? A żona, a dzieci — bo to każdy z was zaraz chce mieć swoją żonę i swoje dzieci — chyba pójdą na żebry. Im dłużej robisz, tem więcej zarobisz, im mniej przez dzień próżnujesz, tem mniej się rozleniwiasz, a więcej gustu do roboty dostajesz i do szynku cię tak nie ciągnie, do pijatyki, do rozpusty, jak mówił ksiądz na kazaniu w niedzielę.

— Sam o sobie chcesz radzić? Chcesz chodzić na wybory radnych i posłów wybierać, — a może i posłem lub radnym zostać? A gdzież twoja głowa do tego? Czy ty płacisz podatek jaki? Zkąd nam do tego, patrz jeden z drugim, byś roboty nie fuszerował, byś materyału nie psuł, byś majstra słuchał, byś Boga nie obrażał — a zresztą nie potrzebujesz troszczyć się o nic, na to jest majster, są urzędnicy, są panowie, jest rząd. Abyś miał co zjeść, gdzie głowę położyć, uprane i załatane — będziesz szczęśliwy. Po co ci głowę zawracać sobie czem innem, po co ci się troszczyć tem, co do ciebie nie należy, tem, co ci tam kto naguduje, aby ci grajcary z kieszeni wyciągać, aby cię roboty pozbawić, albo i do kryminału zaprowadzić. Z majstrem żyj w zgodzie, jego słuchaj, pilnie pracuj — będzie ci dobrze!

— Ja zawsze tak robiłem — i dobrze mi z tem. Doszedłem do lat, ożeniłem się, wziąłem za żonę 500 reńskich, a że tam przedtem było coś małego, to nie z byle kim, ale ze znaczną osobą, z synem wielkiego pana, u którego była w obowiązku, to co mi to szkodziło; małe umarło — a 500 papierków zostało.

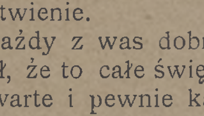
— Otworzyłem warstat — ten pan nastręczył mi robotę, wziąłem zaraz czterech chłopaków, a teraz jestem pierwszym majstrem w mieście, mam poważanie u ludzi i daję wam dziewięciu kawałek chleba.

Tak niech każdy z was robi, a prędzej może dojść do wyborów, jak przez te głupie socyalistyczne awantury, przez zakazane przez księdza i ministra święta, przez wyklęte gazety „niby robotnicze“ itp. rzeczy, z których tylko djabłu uciecha — a dobrym ludziom zmartwienie.

Pewnie każdy z was dobrze mnie zrozumiał i pojął, że to całe świętowanie funta kłaków nie warte i pewnie każdy 1. Maja raniutko stanie do warstatu i jeszcze pilniej jak kiedyindziej będzie pracował? Nieprawdaż, że się nie mylę? Ze nikt z was nie będzie świętował — widzę po waszych minach, że tak, no powiedz Pukalski, że żaden z was się nie wyłączy?

— Ani jeden — odparł Pukalski — wszyscy będziemy świętować, bo to nasz obowiązek najświętszy i najpierwszy! My dla tego musimy to zrobić, bo »wy« sobie tego nie życzycie.

J. H.



Karol Marks — przyjacielem dzieci.

W wiedeńskim kalendarzu robotniczym na rok 1895 znajdujemy artykuł, który córka Karola Marksa, ulegając prośbom swoich przyjaciół w Austryi — przysłała. Tytuł jego jest Karol Marks, luźne kartki.

W artykule tym podniesiony jest nieznany nam dotąd, a nader sympatyczny, nader ujmujący rys charakteru Marksa — stosunek jego do dzieci. Rys ten rzuca promień tak miłego ciepła na całą postać poważanego przywódcy Międzynarodówki, iż budzi w czytającym niewypowiedzianie przyjemne uczucie. Dlatego też podajemy w tłómaczeniu odnośny ustęp z wyżej wzmiankowanego artykułu.

— W obcowaniu z dziećmi występowały w całej pełni najlepsze strony charakteru Marksa. Dzieci nie mogłyby wymarzyć sobie lepszego towarzysza. Przypominam sobie, że gdy miałam około trzech lat zwykł mię ojciec wysadzać na swoje ramiona, obnosić po ogrodzie i wplatać powój w moje ciemne kręcone włosy. Ojciec był dzielnym „koniem“; starsze moje rodzeństwo zaprzęgało go nieraz do krzesła, na którym siedzieli „pasażerowie“ i zmuszało do ciągnięcia „powozu“. Istotnie kilka rozdziałów „18 Brumaira“ napisał był Marks udając rączego konia swoich trojga dzieciaków, które za nim siedziały i poganiały go biczykami. Ja, ponieważ nie miałam rodzeństwa w swoim wieku, wolałam ojca jako wierzchowca. Na jego ramionach siedząc i zatapiając ręce w bujnej „grzywie“, która wtedy czarną jeszcze była i miejscami tylko w szare wpadała, kłusowałam najchętniej po małym naszym ogródku, albo po polach i łąkach.

Ojciec był nie tylko znakomitym koniem, był czemś więcej jeszcze: jedynym i wprost niedoścignionym bajarzem. Ciotki moje opowiadały mi nieraz, że ojciec dzieckiem będąc, tyranizował je okropnie, zmuszał do zbiegania kłusem z góry Marksa w Trewirze, a co gorsza do zjadania ciastek, które on sam brudnymi rękami z jeszcze brudniejszego ciasta sporządzał. One poddawały się wszystkiemu bez sprzeczek, bo Karol opowiadał im w nagrodę przecudne historye. Wiele, wiele lat później opowiadał historye dzieciom swoim. Siostrom moim (ja byłam wtedy jeszcze za małą), opowiadał bajki na przechadzce, a bajki te nie rozpadały się na rozdziały, ale na mile. „Oopowiedz jeszcze jedną milę“, prosiły dziewczęta. Co do mnie, to ze wszystkich cudownych historyj, jakie mi opowiadał lubiałam najlepiej bajkę o Jasiu Röckle. Ciągnęła się ona całymi miesiącami, gdyż była to długa, długa historya — bez końca. Jaś Röckle był czarownikiem, który miał skład z zabawkami i wiele, bardzo wiele długów. W jego składzie były bardzo piękne rzeczy; drewniani mężczyźni i kobiety, olbrzymy i karły, królowie i królowe, majstrowie i czeladńicy, czworonożne zwierzęta i ptaki, było ich tam tak wiele, jak w arce Noego; były ryby i stołki, powozy i pudełka najrozmaitszych wielkości Ale niestety! mimo, że Jaś był czarownikiem, nie mógł pozbyć się długów, musiał więc wszystkie swoje piękne rzeczy, kawałek po kawałku dyabłu sprzedawać. Po wielu, wielu strasznych przygodach powracały jednak wszystkie te rzeczy znowu kawałek po kawałku do składu Jasia. Niektóre z przygód, jakie przebywały, były przerażające i okropne, inne znowu śmieszne, a wszystkie one były opowiadane z niewyczerpanym zapasem wyobraźni i humoru“.

Dalej opowiada autorka, jak Marks z dziećmi swoimi czytywał, jak czytając uczył je myśleć i tłómaczył najpoważniejsze kwestye, jak z miną zupełnie seryo słuchał ich dziecinnych i naiwnych planów. Ona sama np. po przeczytaniu jakiejś historyi o podróżnikach morskich zwierzyła mu się, że chce się przebrać za chłopca i zostać „kapitanem okrętu“, Marks wysłuchał tego z całą powagą i poradził, aby trzymała tę rzecz w tajemnicy, póki wszystkie przygotowania nie będą gotowe. Oczywiście zanim wszystkie przygotowania były porobione, przeczytano inną książkę, a za nią przyszły i inne plany.

Marks mawiał często: „Chrześciańdstwu wiele przebaczyć możemy, gdyż nauczyło nas ono miłości dla dzieci“.

»Mógł on rzeczywiście powiedzieć jak Chrystus: dopuśćcie do mnie maluczkich. Gdziekolwiek się ruszył, dokądkolwiek poszedł, wszędzie i zawsze ten człowiek rosłej i silnej postawy, o długich włosach, otoczony był gronem dzieci. Całkiem obce dzieci zatrzymywały go na ulicy. Przypominam sobie, jak dnia jednego zupełnie obcy, dziesięcioletni może chłopiec przystąpił do niego na ulicy mówiąc: »Swop Knives“ *), a gdy wytłumaczył, że »swop« w języku szkolnym znaczy „zamienić“, wyciągnęli obaj swoje scyzoryki i porównali je. Scyzoryk chłopca miał tylko jedno ostrze, scyzoryk Marksa dwa, ale były one bardzo tępe. Po krótkiej rozmowie zgodzono handel, zamieniono scyzoryki, a »obawę wzbudzający przewódca Międzynarodówki«, dopłacił jeszcze jednego penny **) za to, że scyzoryk jego był taki tępy«.

Dalej opowiada autorka, że wśród pracy nawet Marks otoczony był dziećmi swoimi, ciągle mu one przerywały, co chwila miały o co zapytać, lub o jakiem »ważnem« donieść odkryciu, słuchał je, opowiadał, ale żadnemu nigdy odczuć nie dał, że mu przeszkadza. »W tym czasie — mówi dalej — miałam niewzruszone przekonanie, że Abraham Linkoln (prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej) nie może obejść się bez moich rad. Pisywałam więc do niego długie listy, które ojciec miał czytać i nadawać. Po wielu, wielu latach pokazał mi te wszystkie listy, które tak go bawiły, że je przechowywał.

— — — — — — — — — —

Tym, którzy oddają się badaniu, natury ludzkiej nie wyda się to dziwnem — kończy autorka — że człowiek będący takim, jak Marks nieugiętym bojownikiem mógł być równocześnie najłagodniejszym i najlepszym z ludzi. Zrozumieją oni, że dlatego umiał głęboko nienawidzieć, bo i szczerze kochać umiał, że ostre jego pióro dlatego mogło do piekła wtrącać, bo umysł jego był łagodny i współczujący, że jeżeli sarkastyczne usposobienie jego palić umiało, to, to samo usposobienie było balsamem kojącym dla tych, którzy cierpieli nędzę i ucisk.



Brzask nowej zorzy.

(Słowa do ryciny na str. ostatniej).

Noc była ciemna. Wśród nocy cieni,
Głos się rozlega. Jako grzmotu siła
Jak fali odgłos, kiedy się pieni,
Jego potęga. Wnet obudziła
Śpiące i dotąd nieczułe ludy,
Wstają, a głos, jakby płonął z nieba,
Woła doń: »Jakie cię w życiu trudy
Żywią — czy wśród potu zdobywasz chleba,
Czy cię na polu poty zlewają;
Czyli zgłodniały obracasz koło,
Lub ducha twory chleb nędzny dają
Troska cię gniecie, radli twe czoło
I nędzy strasznej gniotą kajdany
A od kolebki tylko niedola,
Twój druh jedyny, najlepiej znany,
Ci towarzyszy — czy żyzne pola
Chaty rodzinnej próg otaczały,
Czy skwar pustyni — lub mróz północy.
Czy też śnieżyste karpackie skały —
Zbudź się człowiecze, bądź pełen mocy!
Spojrzyj! — jak tu wspaniale w około!
Popatrz na skarby bogate świata!
Dumnie wznieś w górę schylone czoło,
Zrzuć z siebie kajdan co cię oplata,
To twojej pracy przecież są płody,
Poczuj się wolnym — wierz niezachwianie
Wszelakie ludy i wszelkie narody
Braćmi są wszyscy w roboczym stanie!

Wszyscy słuchają na całym świecie
I wraz z poznaniem zaraz kajdany
Z nich opadają. Tylko kobiecie
Znaczenie pracy wcale nieznane,
Ona w niewoli żywot swój wlecze,
Zdobyć jej trzeba prawa człowiecze.

I coraz dalej głos się rozchodzi,
Wraz z falą wiatru wszędzie dociera,
A dokąd dojdzie, światło wnet rodzi
I nocy cienie zewsząd wypiera;
Wnet koniec ciemni — brzask nowy świta
Jutrzenkę jasną lud wolny wita!

K. Nacher.

*) Czyta się suup najfs. Knives znaczy po angielsku nóż, scyzoryk.

**) około $2^1/_2$ centa.


Proletarjusze wszystkich
KAPITAŁ